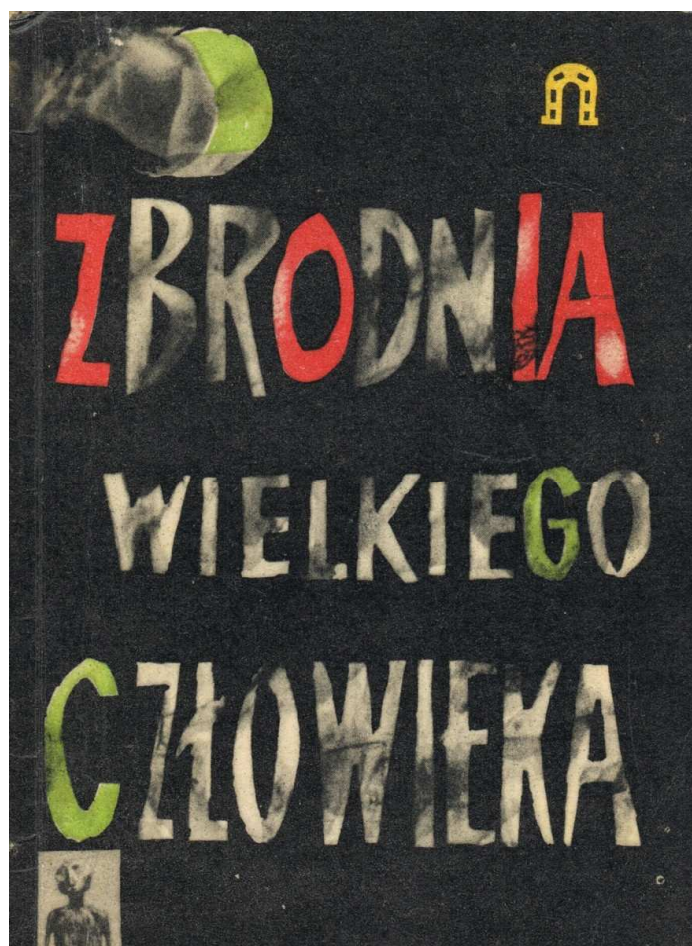


ADAM HOLLANEK

ZBRODNIA
WIELKIEGO CZŁOWIEKA

ZŁOTA PODKOWA 45



WYDAWNICTWO „ŚLASK” KATOWICE 1960

Adam Hollanek jest literatem oraz dziennikarzem, obecnie zajmuje stanowisko redaktora naczelnego popularnego tygodnika krakowskiego „Zdarzenia”.

Dotychczas wydał: w Wydawnictwie Literackim dwa tomy reportaży, „Niewidzialne armie kapitulują” i „Sobotnie spotkania”. W „Naszej Księgarni” — kilka książek młodzieżowych, m. in. „Klucz do potęgi”. Opublikowana w roku 1958 powieść fantastyczna „Katastrofa na słońcu Antarktydy” rozeszła się błyskawicznie. „Zbrodnia wielkiego człowieka” — również powieść fantastyczno-naukowa o sensacyjnej treści — była w całości drukowana w „Panoramie”. „Złota Podkowa” z przyczyn technicznych drukuje tę powieść z niewielkimi skrótami. Hobby: nowoczesna nauka i technika oraz... samochód.

I

AKTORKA — Zuzanna Hay spojrzała na zegarek. Siódma. Na motorowcu „Gigant”, utrzymującym stałą łączność między dwoma kontynentami, kolację podawano o siódmej. Opuszczając dłoń z zegarkiem, Zuzanna stwierdziła z niepokojem, że nie czuje ręki. Poruszyła głową, aby popatrzeć w ślad za pozbawioną czucia ręką, i wydało jej się, że nie ma głowy. Ale przecież widziała zegarek i ręka uniosła się. Te czynności, zazwyczaj automatyczne i nie odczuwalne, nabrały teraz szczególnego znaczenia — jak by od nich właśnie zależało życie.

Opuszczając fotel zatoczyła się po kabinie. Wyciągnęła ręce, aby oprzeć się o ścianę. Chłód plastikowej płaszczyzny przywrócił na chwilę równowagę.

Gwałtownym szarpnięciem rozwarła drzwi na korytarz. I znowu niesamowite wrażenie: to nie własna ręka otwiera drzwi, nie własne nogi robią krok naprzód.

Poczuła nudności. Krzyknęła.

Na korytarzu steward, pochylony, ścisnął kurczowo pas, jaki używała służba okrętowa i co trzeźwiejsi pasażerowie pragnący przejść przez korytarz w czasie sztormu. Ale statek płynął bez wstrząsu, a steward wyglądał tak, jak by przed chwilą dostał potężny cios w żołądek i ciężko dyszał.

Krzyk Zuzanny wyprostował go. Był przyzwyczajony do reagowania na każde skinienie pasażerów. Towarzystwo okrętowe „Atlanta” nie patyczkowało się z mało usłużnymi pracownikami, za najmniejsze uchybienie wylatywali z pracy. Zuzannie zakręciło się w głowie. Zapragnęła wrócić natychmiast do kabiny i położyć się. Odwróciła się i wyciągnęła rękę, nie czując, że ją wyciąga; chciała nacisnąć klamkę, ale trafiła na plastik ściany. Widziała dokładnie klamkę, lecz nie potrafiła jej uchwycić.

Znowu krzyknęła.

Steward zdołał oderwać się od pasa ochronnego i kołysząc się jak pijany postąpił dwa kroki. Od pasażerki dzieliły go trzy metry. Robert Rear w czasie najgorszej huśtawki potrafił zręcznie podawać — jedną ręką trzymając nad głową tacę pełną potraw, drugą przesuając po pasie ochronnym. Teraz ręce miał puste, ale nie mógł dobrnąć do wrzeszczącej pasażerki. A Zuzanna Hay wrzasnęła znowu i upadła, bowiem jej dłoń, która dotychczas długo nie mogła trafić do klamki, niespodzianie nacisnęła chłodny metal, nie czując tego zupełnie. Porwana skrzydłem otwierających się nagle drzwi, straciła równowagę.

Steward był już przy niej. Opierając się plecami o ścianę, pochylił się i, podłóżywszy ręce pod ramiona i uda leżącej, wyprostował się gwałtownie. Podrzuciło go do góry. Zawisnął nagle wraz ze swym żywym ciężarem w powietrzu.

Zuzanna, przerażona niezwykłą pozycją i zdziwiona utratą ciężaru — wyrwała się z ramion stewarda Reara i — stanęła na suficie. Rear, pchnięty przy tym przez nią, zatrzymał się nogami na podłodze. Ich twarze znalazły się obok siebie, ale w odwrotnym położeniu.

— Co... co to znaczy? — wyjąkała wreszcie Zuzanna.

— Nnnnie... rozzzumiem... nic... nic... — odparł steward Rear, szczękając zębami. Słyszał dźwięk klekoczących zębów, ale nie czuł ruchu szczęki ani warg. — Koniec... koniec świata... kkkoniec — jęczał.

Zuzanna zrobiła krok na suficie.

— Pppproszę pani — jęczał steward — może... może my już na drugim świecie. Może statku już... nie ma...

W tej chwili Zuzanna Hay odpadła od sufitu i całym ciężarem zwała się na podłogę obok koi-tapczanu. Zerwała się natychmiast. Przed nią sterczał steward. Wymachiwał jak opętany rękami i nogami.

— Czuje pani ręce, nogi?... Czuje pani? Chyba żyjemy.

Zuzannie pociemniało w oczach.

Ocknęła się wśród lśniących sprzętów szpitalika okrętowego.

— Co to było? — spytała, energicznie prostując ramiona. Każdy ruch czuła teraz doskonale.

— Dobrze już, dobrze — odparł stary lekarz, którego tu nazywano Wańką-Wstańką, bo był z pochodzenia Rosjaninem, miał kołyszący chód i fenomenalną tuszę. Był dziś bledszy niż zazwyczaj, ale bardzo spokojny. — Nie wiadomo co to właściwie było, pani Zuzo. Przez kilka minut czuliśmy się gorzej niż pijani. To wszystko. Może być — zatrucie. Dałem do laboratorium zbadać resztki wczorajszego i dzisiejszego jedzenia. Ale wątpię, żeby to z tego. Pierwszy raz w życiu... — Przerwał. Zuzanna przeglądała się w lusterku. — A co się tyczy pani noska, to siniec szybko zniknie. Proszę nie myśleć, że pani jedna ucierpiała. Wszystkim się trochę dostało.

Zuzanna uśmiechnęła się.

— Teraz wszystko wydaje się śmieszne i nierealne, ale — panie doktorze — przysięgåbym, że wisałam w powietrzu. Pod sufitem. Zresztą steward widział... — co się z nim stało?

— Przyniósł tu panią.

— Panie doktorze, proszę, niech go pan zawoła.

— Telegram, przysięgnę, pani Zuzo, że jak zwykle o tej porze czeka pani na telegram.

Zaczerwieniła się. Doktor Wańka uchylił drzwi i zawołał. Steward Rear wszedł powoli.

— Nie ma i nie będzie telegramu, pani Hay, radio zamilkło. Jesteśmy odcięci od świata.

II

Dowódca portu urzędował w wysokiej, oszklonej wieży. Świeciła samotna pośrodku betonowej płaszczyzny, ogrodzonej niskimi zabudowaniami. Kapitan miał na uszach słuchawki. Wiercił się na swoim ulubionym obrotowym fotelu. Meldunek wydawał mu się zupełnie niewiarygodny.

— Co pleciesz, Jeans — wołał do mikrofonu — co ty za głupstwa gadasz! Jak wy tam pracujecie! Sprawdź jeszcze raz, czy w ostatniej depezy nadanej z „Giganta” nie ma pomyłki.

— Wykluczone! — zaskrzeczało w słuchawkach. — Depesza została nadana radiotelefonem dwie i pół godziny temu. Słyszały ją wszystkie stacje na Bermudach i na naszym wybrzeżu, okręt wojenny U-110 oraz statek pasażerski „Londyn”, który był na kursie do Europy. „Londyn” zresztą pierwszy popłynął na pomoc...

— I nic nie zauważył? Nonsens! — ryknął kapitan. — Przecież byli zaledwie kilka mil od „Giganta”. Coś się wam pomieszało. Powtórz jeszcze raz dokładnie całą depezę z „Giganta”.

— Niech pan posłucha: „Jesteśmy w odległości 100 mil od Bermudów (tu następowało dokładne określenie położenia statku). Przed chwilą przeżyliśmy niezwykle zjawisko. Cała załoga i wszyscy pasażerowie stracili na okres kilkunastu minut zdolność normalnej orientacji. Zaobserwowano zaburzenia równowagi i utratę ciężaru ciała. Dokładny meldunek przygotowujemy. W tej chwili wszystko już jest w porządku. Zjawiska te wydarzyły się przy idealnej pogodzie. Porozumiewaliśmy się ze znajdującym się według naszych obliczeń w odległości 15 mil od nas „Londynem”, który mijał nas w drodze do Europy. U nich nic podobnego nie zaobserwowano. Donosimy również...” O, i w tym miejscu, panie kapitanie, depeza się urwała i łączności nie dało się nawiązać.

— Idiotyczna historia — wołał rozgorączkowany kapitan. — Jeśli byli na kursie, to przecież „Londyn”, który, jak mówisz, pierwszy był na miejscu wypadku, powinien był choćby spotkać łodzie ratunkowe. A samoloty? Jak to możliwe, żeby niczego nie zobaczyły? Taki kolos, tylu ludzi, tyle łodzi ratunkowych najnowszego typu! I to miałyby zniknąć nagle w ciągu pół godziny bez śladu? Nonsens. Sam zaraz lecę. Na was nie można liczyć.

Zerwał słuchawki z uszu. Przekręcił się na swym fotelu i spostrzegł, że nad nim stoi barczysty, wysoki mężczyzna o kwadratowej twarzy, szpakowatej czuprynie i chłodnych czarnych oczach.

— Kim pan jest! — wrzasnął kapitan, zrywając się z fotela — tu wchodzić nie wolno.

— Błagam pana — zawołał nieznajomy, chwytając kapitana za ramię — polecę z panem. Jestem pilotem. Pomogę szukać. Tam była... moja...

— Proszę się uspokoić. Jest pan pilotem?

— Oblatuję maszyny dla BONA... Kapitanie, każda minuta droga.

— Dobrze, chodź pan.

Przeszli podwórze i korytarzyk oświetlony białymi neonami. U jego końca było lotnisko. Nieznajomy poznał to natychmiast po całej gamie żółtych i czerwonych świateł. Świetliasty ogon latarni omiatał pola startowe, odsłaniając co chwila rybie kształty maszyn i ich karykaturalne cienie. Jak spod ziemi wyrósł nagle żołnierz w hełmie. Zastawił drogę automatem.

— Ach, to pan kapitan — powiedział prężąc się służbiście.

— Nie wiesz, która maszyna gotowa do startu?

— Szóstka. Tu bez przerwy urywają się telefony z całego kraju. Porucznik Murchisson kazał wzmocnić posterunki przy bramach, bo tam się tłumy zbierają. Wszyscy już wiedzą o katastrofie „Giganta”.

— Spodziewałem się tego lotu — przywitał ich pilot. Jego twarz w skórzanym hełmie była prawie niewidoczna. — Sam już latał, Rose latał i nic nie wykryli.

— Wiem — mruknął kapitan. — Niech nam bez przerwy podają kurs „Giganta”. Polecimy jego śladami.

Spojrzał na oświetloną mapę — jedyne rozjaśnione miejsce w kabinie.

— O, tu musieli utknąć — pokazał nieznajomemu punkt na mapie. — Stąd był ostatni komunikat. — Siadaj pan — dodał.

— Można? — zapytał pilot.

— Jazda! — powiedział kapitan.

Maszyna rozpedzała się powoli na długim runwayu. Drgania ogarniały kadłub i ciała pasażerów. Potem żołądek podskoczył do gardła, huk silników przeszedł w przeraźliwy świst i drgania ustały.

— Musisz lecieć jak najniżej — krzyczał kapitan do pilota.

— Jesteśmy zaledwie trzysta metrów nad wodą.

— Dobra. Za pół godziny będziemy nad tym miejscem.

Nieznajomy ciągle wpatrywał się w mapę. Siedział bez ruchu, jakby skamieniały z rozpaczy.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał nagle.

Kapitan spojrzął jak na wariata.

— Jak to gdzie? O co pan pyta?

— Gdzie w tej chwili jesteśmy! Niech pan powie pilotowi, żeby podał współrzędne. Chcę to odnaleźć na mapie.

Nieznajomy usłyszał i natychmiast wskazał na mapie odpowiedni punkt. „Doskonale się orientuje” — pomyślał kapitan.

— Musimy zmienić kurs — powiedział niespodziewanie nieznajomy.

— Co to znaczy?

— Niech pan wyda rozkaz! — upierał się nieznajomy. — Żeby ich znaleźć, musimy lecieć tędy — wskazał położenie na mapie.

— Czy pan zwariował?

Kapitan rozpiął pas bezpieczeństwa, ale nim zdążył się podnieść, nieznajomy stał już na nogach i plecami oparł się o okienko. Był w przejściu między przednimi a tylnymi siedzeniami. W ten sposób panował zarówno nad pilotem, jak nad kapitanem. W prawej ręce tkwił potężny colt, lewą przygotował na wypadek nagłego ataku.

— Będę strzelał, jeśli nie każesz zmienić kierunku — powiedział spokojnie.

Pilot na moment odwrócił głowę od sterów. Musiał się zorientować w sytuacji, bo natychmiast maszyna zaczęła rwać pionowo w górę.

— Stop! — ryknął nieznajomy, tracąc równowagę.

Wtedy kapitan skoczył. Ale natychmiast cofnął się z jękiem. Noga nieznajomego dwukrotnie wylądowała mu na brzuchu. Opadł na fotel.

— Wyrównaj i leć kursem, który ci dyktuję — wołał nieznajomy.

Pilot wahał się chwilę. Lufa zbliżała się ku czołu. Kropla potu spod hełmu opadła na nos. Stał się posłuszny. Kapitan zaś oddychał ciężko w fotelu. Wpatrywał się w nieznajomego i widać było, że obmyśla nowy atak. Tymczasem maszyna przechyliła się mocno. Skręcała na północ.

— Dobrze — pochwalił nieznajomy. Stał dalej, zasłaniając szerokimi barami okienko. Przez kilkanaście minut trwało milczenie. Kapitan i pilot wyczekiwali na moment nieuwagi przeciwnika. Stacja brzęczkiem po raz trzeci wywoływała pilota. Brzęczek stawał się natarczywy. Pilot namyślał się co zrobić. Jeśli poda prawdziwy kierunek lotu, będą pytać o przyczynę zejścia z kursu. Wtedy ten bandyta strzeli.

— Podaj fałszywe dane. Głośno. I natychmiast odłóż mikrofon — rozkazał nieznajomy.

Pilot znowu skurczył się i wiernie spełnił polecenie.

— Zniż nad samą wodę — padł nowy rozkaz. -- Zapal reflektory. Przygotuj raketnicę.

Woda była jakieś dwieście metrów pod maszyną. Światła reflektorów wydobyły z ciemności setki pędzących grzyw.

— Rakiety! — komenderował nieznajomy.

Pilot nacisnął spust. Kolorowe pręgi, jedna za drugą, wyskoczyły spod kadłuba i wybuchły łuną. Morze zakipiało. Po lewej stronie widać było wyraźnie ciemny kadłub statku.

— „Gigant”! — krzyknął kapitan.

Wszyscy trzej przyłgnęli twarzami do okienek. Maszyna pikowała tuż nad falami. Przed samą burtą statku pilot poderwał maszynę. Na pokładzie mignęła grupka ludzi z rękami wyciągniętymi w niebo. Przy kadłubie kołysała się na uwięzi szalupa ratunkowa z jakąś postacią w bieli.

W tym momencie rakietka zgasła. Pilot bez rozkazu nacisnął spust, żeby wyrzucić nową serię.

III

— Dla mnie ta sprawa jest skończona — powiedział George Kinsley, prezes towarzystwa oceanicznego „Atlanta”, do którego należał zaginiony przed miesiącem motorowiec „Gigant”. — Jasne, że firma nie ponosi żadnej winy. Asekuracja będzie musiała nam wypłacić odszkodowanie. Dziękuję wam, panowie. Mecenasie, pojedzie pan ze mną?

Wstał i uśmiechnął się obłudnie. Otaczający stół zerwali się z miejsc i z szacunkiem ściskali mu dłoń. Mecenas przygładził rude szczytki włosów.

— Właściwie pan ma rację, prezesie, chyba... żeby śledztwo dało jeszcze jakieś wyniki.

Kinsley wypchnął go prawie za drzwi, jak by obawiał się dalszej rozmowy, i zaraz za nim wyskoczył.

Po wyjściu Kinsleya i mecenasa uwaga obecnych skoncentrowała się na profesorze Greenie. Na „Gigancie” zginęła jego młodziotka narzeczona — Zuzanna Hay. Powołanie profesora jako eksperta naukowego w sprawie tragicznej morskiej katastrofy miało więc podwójne znaczenie. Nie tylko gwarantowało wysoką jakość oceny: Green uchodził za jeden z najświetlejszych umysłów w kraju. Wykluczało również jakąkolwiek stronniczość i możliwość ulegania wpływowi potężnego Kinsleya i związanych z nim potentatów.

Najniespodziewaniej zabrał głos Lipka, młodziotki asystent prowadzącego śledztwo pułkownika.

— Widzi pan pułkownik — John Lipka zwrócił się wprost do szefa — adwokat pana Kinsleya dał nam wyraźnie do zrozumienia, że nie dowierza swemu mocodawcy...

— A pan — huknął pułkownik — nie ufa zdrowemu rozsądkowi. Lepiej nie wrywać się, gdy nie pytają. Ot co! Uruchomiliśmy — zwrócił się do zebranych — uruchomiliśmy dosłownie cały aparat śledczy. Sabotaż wykluczaliśmy. Na statku nie było żadnej zaangażowanej politycznie osobistości. Przeciwnie, jechali tylko uczeni wszystkich niemal krajów. Ten fakt jeszcze wyraźniej wyklucza prawdopodobieństwo sabotażu. Firmie nie może zależeć na odszkodowaniu. Stan jej finansów jest doskonały. A więc — „Giganta” nie zatopiono umyślnie. Co się stało ze statkiem? Dlaczego żadnego nawet śladu po nim ani po jego ratunkowych szalupach nie wykrył „Londyn”, który pierwszy znalazł się na przypuszczalnym miejscu katastrofy? Co się stało z samolotem kapitana portu, który w towarzystwie nie znanego nikomu mężczyzny wyleciał wraz z pilotem na rekonesans w kilka godzin po wiadomości o zerwaniu komunikacji z „Gigantem”. Czy mamy do czynienia z przypadkową katastrofą, czy ze zbrodnią? Oto punkt najbardziej podejrzany do chwili, kiedy pan profesor był łaskaw wygłosić swoją hipotezę.

Green zabębnił palcami po blacie stołu. Młodziotki agent John Lipka przypatrywał się uczonemu ze szczególną uwagą. Stwierdził, że Green nie tylko świetnie ukrywa ślady swego murzyńskiego pochodzenia, czesząc niesforne włosy gładko i wybielając cerę kremami i pudrami. Równie dobrze umiał ukrywać swoje uczucia. Opowiadano, że Zuzannę Hay ubóstwiał, że dla niej wyrzekł się majątku i naraził na ataki wielu gazet. Teraz, zaledwie w miesiąc po zaginięciu ukochanej, miał twarz spokojną a ruchy tak opanowane, jak by w ogóle w jego życiu nic nie zaszło. „A może ten facet znalazł już sobie jakąś nową flamę — pomyślał Lipka. U tych na świeczniku nigdy nic nie wiadomo”.

— Nie było na naszej planecie — odezwał się Green — i nie ma urządzeń do redukcji ziemskiego ciężenia. A więc na statku działały siły pozaziemskie. W istocie — w tym samym czasie w wielu punktach naszego globu zanotowano przelot tak zwanych „latających talerzy”. Różnica czasu dzieląca przelot owych świetlistych tworów od suponowanej przez nas godziny katastrofy „Giganta” jest bardzo nieznaczna. I jeszcze jedno: jeśli wykluczy się możliwość spowodowania przez kogoś umyślnej katastrofy, a śledztwo wyklucza wyraźnie taką możliwość, to jakże inaczej wytłumaczyć zaginięcie statku i jego błyskawiczne zniknięcie

cie z powierzchni morza? Jasne — na statek musiały działać potężne, nieznanne nam pozaziemskie siły. Te same siły doprowadziły zapewne do katastrofy samolotu, w którym leciał kapitan portu.

— Panie profesorze — zawołał nagle młodzieńcy detektyw Lipka, narażając się na gniew szefa. — Ja chciałem tylko dwa słówka...

— Dość, dość tego! — zawołał pułkownik.

— Panie pułkowniku, ja muszę... — upierał się Lipka.

— Porachujemy się później — mruknął pułkownik, szturchając Lipkę łokciem.

— Ależ, pułkowniku — odezwał się profesor Green patrząc z sympatią na młodego detektywa.

— No to gadać, ale szybko — powiedział pułkownik.

— Panie profesorze — odezwał się speszony Lipka. — Czy pamięta pan sprawę Mullera?

— Nie — zdziwił się uczony — co to ma...

— Otóż ma. Ciekawe, że pan tego nie pamięta. Katastrofa wydarzyła się w miejscowości, którą pan często odwiedza, w Niebieskim Mieście.

— Ach, już wiem! — zawołał profesor. — Ten Muller zamordował żonę. W prasie aż huczało.

— Tak — potwierdził radośnie Lipka. — Muller jechał z żoną samochodem. W pewnym momencie, dobijając do ulicy Nadbrzeżnej, zatrzymał wóz i wysiadł. Twierdził na procesie, że chciał kupić papierosy dla żony. Usłyszał krzyk i odwrócił się: samochód płonął. Rzucił się (jak twierdził na procesie) na pomoc. Wóz zapalił się zapewne od bańki z benzyną, umieszczonej pod siedzeniem. Niestety, Muller nie mógł trafić do klamki, poczuł, jak nagle nieważki, stracił orientację. Widział, że żona wije się w płomieniach, ale i ona widocznie doznawała to samo co mąż. Zanim Muller poczuł się normalnie, zanim nadbiegła pomoc, żona zginęła w płomieniach. Mullerowi oczywiście nie wierzono. Skazano go na dożywocie. Ale czy panów nie uderza zbieżność tłumaczenia się Mullera z treścią ostatniej depechy z „Giganta”?

— Skończyłeś? — zapytał szorstko pułkownik. Bał się, że młody współpracownik zakasuje go kiedyś.

— Pułkowniku — odezwał się profesor Green — rzecz jest niezmiernie ciekawa...

— Nie skończyłem — powiedział nieśmiało Lipka — i jeśli pozwolicie, przytoczę jeszcze jeden przykład. Otóż zdarzył się jeszcze jeden podobny wypadek. I tym razem w pobliżu Niebieskiego Miasta, w okolicznych górach opowiadali mi koledzy, że w połowie ubiegłego roku dwaj znani wspinacze przeżyli dziwną przygodę. Poczuli w najniebezpieczniejszym przejściu, że ich ciała nic nie ważą, że ich ręce nie są ich własnymi rękami. Jeden odpadł od ściany i byłby pogruchotał się w drobny maczek, gdyby nie nagłe ustąpienie tych objawów. Ubezpieczający utrzymał na linie leżącego w przepaść przyjaciela. Oczywiście, wypadek wyjaśniono zmęczeniem, warunkami atmosferycznymi i tak dalej. Ale mnie uderza zbieżność także tego wypadku z treścią depechy z „Giganta” i ze zwierzeniami Mullera. To by potwierdzało hipotezę pana profesora. Tak, panie profesorze. Chyba jakieś pozaziemskie siły wpłynęły na powstanie wszystkich opisanych wydarzeń. To sobie pomyślałem i tylko to. Chociaż... jednak...

— Przestań pan głądzić — zawołał pułkownik. — Powiedziałeś co wiesz i kwita. Drodzy panowie — zwrócił się do Greena i docenta Ronharda, który dotychczas nie zabierał głosu, — dziękując za udział panów i cenne badania, jestem zmuszony oświadczyć, że mimo tak ciekawych wyników śledztwa jeszcze całkowicie nie zawieszono. Zajmiemy się jednak panem Kinsleyem...

IV

— To bardzo dziwne — mówił Lipka do swej narzeczonej — spotkałem tu pułkownika. I wyobraź sobie, był bez tej pulchnej blondynki, z którą zwykle, w tajemnicy przed żoną, robi wypadki w góry...

— Śledziłeś go? — zapytała, poprawiając włosy przed lustrem. — Wylecisz z posady i zostaniesz na lodzie. Idiota.

— Myślisz? Eee, nie bój się, nie widzieli mnie. Pułkownik rozmawiał z Kinsleyem, wiesz? Tym prezesem spółki „Atlanta”, co tu ma willę. Jest też mnóstwo ludzi z mego oddziału. Chodzą wszyscy, jak by byli na urlopie. Wysiadują na plaży...

— Toś ty już na plażę zaglądał?

— Odsunęli mnie od sprawy „Giganta”, a gdyby udało się coś odkryć — kariera otwarta. Kinsleya śledzi pułkownik i grupa z naszego oddziału. Coś zwąchali. Brak tylko profesora Greena, ale dowiedziałem się, że on także ma tutaj willę. Wyjechał podobno na północ, szukać wśród śniegu ukojenia po tej swojej Zuzannie Hay...

— Wyobraź sobie, że ona chodziła ze mną do szkoły i potem zaczynałyśmy razem studia. Poznałam ją ze zdjęć w gazetach.

— Rita, wierzysz w cuda? Bo mnie nie podoba się ta hipoteza o pozaziemskich siłach, wysunięta przez Greena i poparta przeze mnie.

— Nie mówiłeś mi o tym poparciu.

— Zawsze krzyczałaś, że jestem papla.

— Ale mnie musisz wszystko mówić! — krzyknęła ze złością, zrywając się z krzeselka. Strąciła przy tym lustro, które rozbiło się na podłodze.

— Siedem lat nieszczęścia! — powiedział Lipka.

— Kto się z tobą połączył, skazany jest na wieczne nieszczęście — odpowiedziała natychmiast.

Przypadł do niej i zaczął ją całować.

— John — powiedziała — przyszło mi nagle na myśl, że gdybyś rozszyfrował sprawę „Giganta”, mielibyśmy mnóstwo forsy. I mogliśmy się wreszcie pobrać. I rzuciłbyś tę głupią pracę. I zbudowałibyśmy sobie willę, choćby tutaj... Johnny! Dokąd się wybierasz? — Zostań!

— Daj mi spokój! — krzyknął Lipka.

Nie mogła za nim wybiec na schody pensjonatu. Miała na sobie stary wypłowiały szlafrok. Nosila go dla oszczędności. W szafie wisiał drugi, elegantszy, który używała wychodząc do łazienki.

Lipka gnał przez ciemniejące ulice. Nie przypadkowo wybrał tę miejscowość. W Niebieskim Mieście zdarzyła się osławiona zbrodnia Mullera. W górach, tuż obok, dwaj alpinisci omal nie stracili życia wskutek nagłej utraty ciężkości własnych ciał. Tu wreszcie znajdowała się willa podejrzanego w sprawie „Giganta” — prezesa Kinsleya i tutaj mieszkał profesor Green. Po pamiętnej naradzie, kiedy to pułkownik oświadczył, że mimo wszystko zajmie się śledzeniem Kinsleya — Lipkę odsunięto od sprawy. Wówczas poprosił o urlop pod pretekstem, że chce się żenić. Jego związek z Ritą był powszechnie znany i wyśmiewano go w oddziale, bo wlaź pod pantofel kobiety, która nie chcąc wyjść za niego za męża, ogałacała go z każdego grosza. Czuł jednak, że bez Rity już dawno rzuciłby pracę i zaczął pić na umór. Miłość zmuszała go do walki: ten niski i komiczny człowieczek nie umiał rozpychać się łokciami. Ale potrafił się wcisnąć, gdzie się go najmniej spodziewano. Doskonały „detektyw-padalec”, jak go często nazywano. Nikt na niego nie zwracał uwagi, dlatego w śledztwie oddawał niezmierne usługi. Zresztą był niedołągą i niczego do końca nie umiał doprowadzić. Oczywiście, wszystko szło na dobro pułkownika. Lipka pozornie zadowalał się tym, że go

tolerowano — i skromnymi premiami.

Przed wyjazdem do Niebieskiego Miasta zaopatrzył się w spisy i adresy osób, które zamieszkiwały aleję Nadbrzeżną. Szczególnie interesowali go mieszkańcy will położonych w pobliżu miejsca, gdzie spalił się wóz małżeństwa Muller. Były to cztery najpiękniejsze domy na wybrzeżu. Za nimi połyskiwało morze. Po drugiej stronie alei zaczynał się wspaniały sosnowy las, wspinający się coraz to wyżej po garbatych reglach. Dalej już skały. Właśnie wśród tych skal Niebieskiego Grzebienia rozegrała się przygoda młodych alpinistów.

Zapadły ciemności. Z gór napływał zapach żywicy. Latarnie oświetlały asfalt. Lipka porównał numery domów ze spisem, który miał na karteczce. Willa profesora Greena była najokazalsza, ale z okien jej biła ciemność, w sąsiedniej mieszkał potentat „Atlanty”, potężny i wpływowy Kinsley.

Chodził już pół godziny po coraz chłodniejszej alei i ciągle obiecywał sobie, że zaraz wróci do pensjonatu. Bał się wymówek Rity. I tym bardziej odkładał powrót. Aleja była o tej porze zupełnie pusta. Przed jedną willą stał Cadillac, zeszłoroczny model. Właśnie taki wóz Lipka zamierzał jutro wynająć na dwutygodniowe wakacje. Przypatrywał się z daleka maszynie i wyobrażał sobie, jak ją będzie prowadził po ostrych serpentynach Niebieskiego Grzebienia. Noc spędzą z Ritą w schronisku, a potem... potem będzie druga, trzecia, czwarta i dziesiąta... Wreszcie powrót pod komendę pułkownika. I marzenia o nowych wakacjach.

Do diabła! Czy ja się nie narażam? — pomyślał. Jeśli Kinsley jest przez naszych śledzony, to wszędzie tutaj mogą znajdować się agenci pułkownika. Lada chwila może mnie któryś nakryć.

U wylotu alei zabłyśły światła samochodu. Pałą długie światła, choć ulica jasna jak w dzień. Lipka na wszelki wypadek cofnął się za wymarzonego Cadillaca. Reflektory liznęły czarną powierzchnię i zgasły. Szczęk klamki. Charakterystyczny stukot podkówek o bruk i znajomy, trzaskający głos:

— Pusto, пусто. Nigdy nie dowierzam pustce.

To pułkownik! Lipka skulił się za Cadillacem. Znowu inny, również znajomy głos:

— Zawsze wietrzysz niebezpieczeństwo. Nie masz się czego bać.

— Z przyzwyczajenia — odparł pułkownik. Manewrował przy wozie. Kłaśnięcie zatraskiwanych drzwiczek. Kim był ten drugi? Pułkownik ściszył głos:

— Jesteś pewien, że Green się nie wyrwie i teraz nie spadnie nam na kark? Może jednak da się przebłągać.

— To zupełnie złamany facet. Wolałbym, żeby trochę odpoczął.

— Nie domyśla się?

— Bo ja wiem? Gdyby się domyślał, zniszczyłby wszystko.

Obaj stali teraz przy furtce do willi Kinsleya. Nagle towarzysz pułkownika odwrócił się i spojrzał na willę Greena. Lipka poznał natychmiast: tak, to Kinsley. Pułkownik podniósł głowę.

— Ciemno tam zupełnie. Ale Malone chyba pracuje. Swoją drogą, na taką historię słaba obstawa. Tego domu trzeba pilnować jak oka w głowie.

Furtka ustąpiła ze zgrzytem. Głosy oddalały się i cichły wśród krzewów ogrodu.

Lipka pomyślał, że tej nocy nie wróci do Rity.

V

Do willi profesora Greena można się dostać od alei, przez główną bramę, ukrytą między kolumnami tarasu. Wejście na pewno zamknięte i w dodatku strzeżone przez jakąś pomysłową sygnalizację lub przez agentów. A ogrodzenie zbyt wysokie. Gdyby obejść dom i zaatako-

wać okna oficyny? Tylko nie wiadomo, czy ogród pusty. A elektryczna sygnalizacja lub dobrze uzbrojony strażnik?

Lipka czuł, że jego posada wisi na włosku. Wygrać wyścig z policją! Odkryć tajemnicę willi profesora Greena! W razie powodzenia pułkownik dostałby apopleksji. Zresztą w tej sytuacji właściwie sam pułkownik wszedł w krąg podejrzanych. Kinsley jest raczej współnikiem pułkownika niż facetem przez niego śledzonym. Być może, obaj pracują w wielkiej bandzie czy też w obcym wywiadzie. Nakryć szefa na takiej robocie! Ale gra tym bardziej ponętna i niebezpieczna.

Na palcach przeszedł wzdłuż siatkowego ogrodzenia. Łączyło się z ogrodzeniem willi Kinsleya, a z drugiej strony przylegało do wysokiego muru sąsiedniego domu. Brama tego domu była otwarta. Klatka schodowa oświetlona. Jeśli jednak willa Greena była obstawiona, oczywiście dyskretnie, to na pewno nie pozostawiono bez dozoru sąsiednich zabudowań. Włókł się aleją. Za willami szosa skręcała gwałtownie w lewo, ku górcom, ale Lipka nie miał zamiaru piąć się serpentynami. Szedł na przełaj. Sosnowy bór urywał się na wielkiej łące z nie koszoną chyba nigdy trawą. Nikt tu widocznie nie mieszkał. Wąska, zarośnięta ścieżka biegła wśród ostrokrzewów. Skręcił na prawo. Droga powinna prowadzić nad morze

Zza drzew ukazał się stromy dach. Lipka postanowił omijać zabudowania. Zdał sobie nagle sprawę, że jego wędrowni towarzyszy stale rosnący szum, to przyływ bił skały. Z daleka przyjrzał się domkowi. Bielutkie ściany, podwórze gładkie, wybetonowane, z małym gazonem pośrodku. W oknach ciemno. Kto tam mieszka? Ogrodnik czy strażnik? Okrążył podwórze. I wtedy dostrzegł leżącą postać. Na gazonie. Z bronią w ręku. Zwrócona była wprost na Lipkę. Jasne, nie zostawili domu Greena bez obstawy od tej strony. Leżący nie zmieniał pozycji. Chyba szum morza zagłuszał przedzieranie się Lipki przez krzewy. Albo strażnik się zdrzemnął.

Idąc dalej Lipka natknął się na betonowy murek. W dole o skały waliło morze. Lipka widział dokładnie jego spienioną powierzchnię. Wydostał się na płaski, piaszczysty brzeg. Piasek otaczał krzewy i kępki traw. Woda delikatnymi jęczyczkami oblizywała rośliny. Widocznie trafił na początek odpływu.

Z tej strony nie spodziewano się widocznie nikogo. Lipka zdecydował się bez wahania. Do betonowego słupa przycumowana była niewielka motorówka. Zapadając się w rozmiękłym od wilgoci piachu i brodząc po kostki w wodzie, dobrnął do łódki. Zwyczajna ratownicza motorówka bez pokładu i kabiny. Na dnie kilka wiader, łopaty i dżagan. Znalazł nawet wiosła przygotowane na wypadek awarii silnika. Z trudem założył je do dulek. Znał się trochę na tym. Za czasów uniwersyteckich próbował sportu wioślarskiego. Odstraszyła go później galernicza praca wioślarza. Kilкома niezgrabnymi uderzeniami dżagana przeciął linę. Łódź szła szybko na morze. Wyteżył wszystkie siły, by utrzymać się blisko brzegu. Popłatane zarośla ginęły. Ukazały się wille i ogrody z klombami i białymi japońskimi sosnami. Z górnych partii biła luna światła. Łódź ugrzęzła w piasku, dziób zarył się tak mocno, że żadna siła nie zdołałaby go wydzwignąć. Lipka wyskoczył i piął się pod górę po piasku jeszcze zupełnie mokrym, wreszcie wzdłuż wilgotnych zarośli. Woda chlupała w butach, piasek wcisnął się do skarpet. Robiło się chłodno. Pogodne górskie noce zawsze są zimne. Piął się wyżej i wyżej, aż stanął przed strzelistym murem. I z tej strony wejście do willi było zamknięte. Dom profesora Greena to twierdza najeżona pikami ostroplotu, otoczona niewidzialnymi strażnikami i murem nie do przeskoczenia.

Lipka zapragnął jak najprędzej znaleźć się w pensjonacie. Niech sobie Rita gdera, niech szaleje, byle tylko wrócić do pensjonatu. To niedaleko. W linii powietrznej najwyżej kilkaset metrów. Ale helikoptera z wygodnym fotelem nie było w pobliżu. Powrót tylko jeden — poprzez piasek i muł nadbrzeżny. Łodzi nie da się ruszyć przed przyływem. Rita ma rację, jestem skończonym idiotą.

W murze dojrzał furtkę. Nacisnął kutą, żelazną klamkę. Otwarta i nie strzeżona! Śmiało

przeszedł główną aleję parku, pustą, ale jasną. Żadnych straży nie było. Willa wystrzeliła nagle zza krzewów, biała i jakby wymarła. Księżyc przeglądał się w szerokich szybach. Tylne drzwi na oścież otwarte. Lipka wbiegł prawie do środka, nie zważając na niebezpieczeństwo. Potknął się. Na progu leżał człowiek. Twarzą do podłogi. Lipka przyklęknął i unióśł głowę leżącego. W jego szyi tkwił krótki, turystyczny nóż.

VI

Rita postanowiła nie czekać dłużej ani minuty. Nie pierwszy raz tak postąpił. Miała dość nagłych ucieczek narzeczonego. Wracał z nich w powalonym ubraniu, czasem nawet zakrwawiony, ziejący wodą. Dziś będzie to samo. Ukłęknie, będzie błagać i modlić się do niej. Potem usatkuje się na kilka dni. I od nowa. Dosyć tego.

Wiedziała, że za pół godziny odchodzi pociąg. Zeszła do hallu. Jak na złość przy recepcji stało kilka osób. Starszy pan w filcowym kapeluszu odbierał listy. Dwóch wojskowych wypełniało jakieś karteluszkę. Jeden co chwila rozglądał się, jak by na kogoś czekał. Starsza pani z pieskiem zamęczała portiera pytaniami w jakimś syczącym, nieznośnym języku. Pewnie Słowianka.

Rita przepchała się do eleganckiego, zawsze uśmiechniętego szefa recepcji. Przeprosił wojskowych, zwrócił się do niej z ukłonem.

— Pani wyjeżdża?

Wtedy — tupiąc cienkimi obcasikami po marmurowej posadzce — wyskoczyła z windy wysoka, szczupła szatynka. Rita, którą wszystko zawsze bardzo interesowało, obejrzała się.

— Zuza — zawołała — jak Boga kocham! Zuza!

Szatynka zrobiła taki ruch, jak by chciała z powrotem wskoczyć do windy. Ale wejście było już zamknięte siatką, paliło się czerwone światełko.

— Jak się masz — powiedziała do Rity, widząc, że nie zdoła jej wyminąć. — Pogadamy później. Spieszę się strasznie...

Ritę dopiero w tej chwili ogarnęło zdumienie i olśnienie. Pojęła, że stoi przed nią — Zuzanna Hay, narzeczona profesora Greena, słynna z doskonałej figury aktorka, kobieta, o której zaginięciu na statku „Gigant” magazyny całego świata zadrukowywały setki kolumn. A więc statek nie zaginął? Gdyby odnaleziono ofiary wypadku, trąbiłoby o tym i radio, i prasa. Rita wyjąkała:

— Skąd... skąd się tu wzięłaś, powiedz?

W tym momencie jeden z wojskowych stojących przy recepcji znalazł się nagle przy Zuzannie Hay, brutalnie chwycił ją za ramię i szybko wyprowadził z hotelu. Rita stała chwilę jakby przykuta do posadzki. Gdy wybiegła na ulicę, na zakręcie zniknęło długie, czarne auto. Była zbyt zdenerwowana, by zapamiętać numer. Zawróciła do hallu.

Szef recepcji zapytał z wyraźną ironią:

— Pani była łaskawa się rozmyślić?

— Skąd pan wie? Tak, tak — zawołała półprzytomnie — niech zanoszą walizkę do numeru. Czy... czy może mi pan powiedzieć, gdzie zatrzymała się pani, z którą przed chwilą rozmawiałam?

— Owszem, madame. To dziennikarka Luise Grosch, z Niemiec. Przyjechała przed pół godziną, zajęła dwunastkę. Czy mam jej coś przekazać, gdy wróci?

— Nie, dziękuję.

Wyszła z hotelu. Owionęło ją chłodne powietrze. Gdzie szukać tego idioty, Lipki? Gdzie on się włóczy? Miała w ręku nici wielkiej afery. Co z tym począć? Znała tylko jeden adres: Kinsleya, szefa spółki oceanicznej „Atlanta”, do której należał zaginiony statek.

Zawiadomić go, że zguba się znalazła? Ależ znalezienie się tej zguby świadczyło o winie prezesa „Atlanty”. Leżć w paszczę smokowi? Ach, żeby tak znała adres pułkownika! Szef Lipki byłby jej, im obojgu, dozgonnie wdzięczny za informacje. Do diaska, policja musi wiedzieć, gdzie on mieszka. Trzeba natychmiast na policję! Przejeżdżała właśnie taksówka.

— Na komendę policji! — rzuciła Rita wyniośle. Czuła się ważną osobą. Nie John dostanie nagrodę i awans, lecz ona zbierze laury. A potem? Wspaniałomyślnie z nim się podzieli. Jej gniew wywietrzył. Była nawet zadowolona, że Lipki nie ma. Sprawি mu niespodziankę.

Ulice były wyludnione. Nad kinem „Gina” płonęły neony w kształcie ognistych piersi. Za kinem taksówka stanęła.

— Policja — powiedział kierowca.

Gmach ponury jak koszary. Wbiegła na korytarz.

— Do kogo? — zapytał dryblas w białym hełmie.

— Muszę mówić z komendantem.

Spojrzał jak na pijaną.

— Komendant w domu. O tej porze się śpi.

— To niech go pan zbudzi. Mam niezwykle ważne informacje.

— Ho, ho!

Odwrociła się gwałtownie, czując, że ktoś za nią stoi. Wysoki mężczyzna w cywilnym ubraniu. Na pewno wszystko słyszał.

— Może pan mi pomoże? — zawołała. — Mam taką wiadomość, która zatrzęsie jutro całym światem. Chcę mówić z komendantem i żeby można się skontaktować z pułkownikiem, który tutaj przebywa.

Na wzmiankę o pułkowniku nieznajomy drgnął.

— Jestem komisarz Little — powiedział grzecznie, dając ręką znak wartownikowi. — Pani pozwoli za mną. Pani zna osobiście pułkownika?

— Nie, to jest właściwie... — płątała się, nie wiedząc czy nie robi głupstwa, opowiadając mu całą historię. Ale nie było wyboru.

Komisarz wprowadził ją do gabinetu na parterze. Ściany były nagie, pomalowane na szaro. W kącie stało biurko. W drugim kącie reflektory — jak w atelier filmowym. W oknach kraty.

— Mój mąż interesował się służbowo sprawą zaginięcia statku „Gigant”. Pan zna tę historię. Nie?

— Ależ tak, tak — odparł komisarz. — Ale skąd pani wie, że pułkownik jest tutaj?

— Mój narzeczony, przepraszam... mój mąż widział pułkownika. Pułkownik śledzi tego Kinsleya i...

— Szkoda, że mąż nie przyszedł do nas.

— W tym sęk, że nie mógł. Bo go nie ma. Poszedł śledzić tego Kinsleya. Bo, proszę pana komisarza, ten Kinsley na pewno jest przestępcą...

— Co pani mówi. Naprawdę?

— Tak, on sfingował zaginięcie statku. On chciał pewnie dostać wysokie odszkodowanie asekuracyjne za „Giganta”. Niech pan sobie wyobrazi, że spotkałam przed chwilą w moim pensjonacie aktorkę, Zuzannę Hay, która była na liście zaginionych.

— Na Boga! — krzyknął komisarz Little. — Pani jest warta tyle złota, ile pani waży. A właściwie grubo, grubo więcej — dodał szybko, patrząc na drobny biust Rity. Zaśmiał się nieprzyjemnie. Rita wstrząsnęła się od nagłego strachu. Za oknami ciemna noc. A ona sama, w obcym mieście, naprzeciw groźnego komendanta policji. A jeśli to nie jest policja? Jeśli taksjarski zawiózł ją do centrali bandy Kinsleya? Co za głupstwa!

— Oddała nam pani niezmierną usługę — rozwiął jej obawy pogodny, ciepły głos komisarza. — Proszę chwilkę poczekać. Porozumiem się natychmiast z szefem. Zaraz wracam.

Nie czekając na odpowiedź szybko opuścił gabinet. Rita siedziała chwilę nieruchomo. Potem wstała i zaczęła się przechadzać. Komisarz nie wracał. Zaniepokojona, podeszła do drzwi. Nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. Zaczęła bić w nie pięściami i krzyżeć:

— Proszę otworzyć! Natychmiast otworzyć! To bezprawie!

VII

Lipka odwrócił leżącego we krwi człowieka Delikatnie wodził palcami po oczach, pragnąc zbadać odruchy. Na nic. Żaden zabieg nie przywróciłby zakłutego do życia. Zakrył ciało, rozglądając się. W obszernym hallu, z lekka rozświetlonym przez księżyc, z trudnością dawało się rozróżnić otwarte wejście do szerokiego, czarnego korytarza i kilka par drzwi po lewej i prawej stronie.

Lipka schylił się nad umarłym i przeszukał kieszenie jego marynarki. Broni nie znalazł. Dokumenty schował wraz z portfelem do kieszeni w spodniach. Po chwili ostrożnie posuwał się ku korytarzowi. Wtem bucik zahaczył o twardy przedmiot. Schylił się. To latarka! Musiała wylecieć z rąk napadniętego, gdy szamotał się z napastnikiem. Ciekawe, kim był napastnik? Bo zabity był chyba strażnikiem.

Korytarz przebiegał przez całą willę i chyba sięgał frontu. Zamajaczyły główne drzwi wejściowe, ze szkła, na pewno te, które wychodziły na taras z kolumnami. Zgasił latarkę i wpatrzony w kontury wejścia posuwał się naprzód, lewym ramieniem wspierając się od czasu do czasu o zimny mur. W połowie korytarza spostrzegł rysę blasku. Stał, wstrzymał oddech. Przeczekał tak minutę. Rysa nie rozszerzała się ani nie gasła. Szybko przeszedł więc na drugą stronę i zbliżył się do niej. Ze zdziwieniem stwierdził, że był to rodzaj drzwi zamaskowanych. Wyglądały tak, jak by ściana pękła od sufitu do podłogi. Zbliżył oko do szpary. Zobaczył wąską klatkę schodową o bardzo stromych kamiennych schodkach. Światło biło z dołu, z miejsca stąd niewidocznego.

Spróbował rozsunąć ściankę. Spodziewał się oporu. Tymczasem zamaskowane drzwi poddały się łatwo. Wszedł na pierwszy szeroki stopień i zaglądnął w dół, jak do studni. Schody kręciły się i znikaly za załomem ściany. Stamtąd szło światło.

Oglądając się. Korytarz, który pozostawił za sobą, był ciągle cichy i pusty. Lipka nie namyślał się długo. Zasunął zamaskowane drzwi. Przyszło mu nagle na myśl, że gdyby do willi wdarł się nie jeden, lecz kilku zbirów, nie bawiliby się we wbijanie sztyletu w szyję strażnika. Zaskoczyliby go w inny, prostszy sposób. Nie spodziewał się spotkać więcej niż dwóch ludzi. Zaraz, zaraz... Jak to mówił Kinsley z pułkownikiem? Że u Greena ktoś pracuje. To jasne. Ich wysłannik dostał się po trupach do wnętrza, gdzie ma spełnić jakieś ważne zadanie. Może wykraść kompromitujące Kinsleya dokumenty, które mógł zebrać profesor, albo zdobyć plany naukowe dla obcego wywiadu.

Lipka schodził jak najciszej. Nie było to łatwe. Schody bardzo strome, a poręczy brak. Trzymał się ściany. Latarki nie musiał zapalać. Światło z dołu wystarczało. Gdy doszedł do zakrętu, za którym ginęła dalsza partia schodków, mocno ujął w dłoń latarkę. Mogła od biedy pełnić rolę maczugi, była duża i ciężka. Ostrożnie wyjrzał za zakręt. Tam znowu schodki i znowu, ściana zakrywająca ich dalszy bieg. Poruszał się teraz szybciej. Gdyby go odkryto, złapano by go już dziesięć razy lub zastrzelono. Nie ma obawy.

Pojął, że znajduje się zapewne poniżej poziomu morza. Czyżby w tych podziemiach mieściły się profesorskie laboratoria? Blask żółtej lampki umieszczonej w jednym z załomów tej studni już nie sięgał tutaj, znowu zrobiło się całkiem ciemno. Szedł więc po omacku, od czasu do czasu przyświecając sobie latarką. Schodki urywały się nagle. Zachwiał się i uderzył głową o ciężkie, metalowe drzwi. Były otwarte. Potarł guz na czole, wcisnął się w przejście i

zaświecił lampkę. Promień obiegił szybko wszystkie kąty. Była to kolosalna hala, po której sufitach pięły się dziesiątki rur i przewodów. Przez środek sali przebiegał długi, wsparty na wielu nogach stół nakryty zielonym sukniem. Otaczały go miękkie, skórzane fotele klubowe. Po prawej stronie był mały bar, za nim szklana półka z naczyniem. W lewym rogu, tuż pod rurami, ciągnęła się metalowa galeryjka, ku której wspinały się kręte, ażurowe schodki. Wybrał to przejście, bo nad galerią widać było ciemniejszą od reszty sufitu klapę. Uniósł ją bez trudu i wywindował przez otwór całe ciało. Oświetlił długi, wąziutki korytarzyk. Ledwie można się było tędy przecisnąć. Korytarzyk zamykała jeszcze jedna metalowa klapa. Szybko ją odsunął i — zmartwił.

Światło, światło, światło! Zalewało go ze wszystkich stron jasne, ale nie oślepiające. Widział dokładnie: od sufitu tej gigantycznej hali spływały ku ziemi setki połyskliwych sprężyn. Pośród nich uwijały się małe, zamazane postacie, nie wiadomo: ludzie czy zwierzęta. Trudno było stwierdzić, ilu ich jest. Poruszały się bowiem z niezmierną szybkością, zupełnie jak samochody na zdjęciach filmowych z wyścigów, kiedy to kontury wozów zacierają się od prędkości niemożliwej do uchwycenia przez oko ludzkie. Niektóre cienie latały jak ptaki. Były tak blisko, że gdyby Lipka zdołał wyciągnąć drżącą dłoń dotknąłby ich ramion i głów. Musieli go widzieć. Stercza! przecież nad klapą, samotny i nieruchomy, otoczony zewsząd blaskiem. Nie mógł się poruszyć.

Gdy się ocknął, poczuł, że pot zalewa mu oczy, że ciurkiem leje się po plecach. Skurczył się i wpełznął do otworu. Zasunął klapę. A może to był po prostu film panoramiczny? Nie. Jednak myśl o nierealności zjawiska dodawała mu otuchy, pozwalała trzeźwiej zastanowić się nad sytuacją. Postanowił natychmiast zawrócić. Byle się tylko stąd wydostać. Po ciemku minął galeryjkę wielkiej sali posiedzeń. Dopiero teraz zaświecił na moment latakę. Wyjdzie z willi głównymi drzwiami i pobiegnie na policję. Poprosi o połączenie ze stolicą, zawiadomi o odkryciach, z tym, że ostrzeże władze przed dwuznaczną rolą pułkownika i Kinsleya. A potem...

— Witam pana!

Lipka zaczął krzyczeć.

— Proszę nie ryczeć, to nie ma sensu

Dopiero po sekundzie Lipka zorientował się, że sala jest rzęsiście oświetlona. Kiedy rozbłyły lampy? Był zbyt przerażony, aby odtworzyć w pamięci ten moment. Mimo woli wyciągnął ręce do góry i odwracał się powoli. Kogo zobaczy za plecami?

— Profesor Green — zawołał. — Pan profesor tutaj?

— Nie spodziewałem się was tak szybko — mówił gorączkowo uczony, mierząc z wielkiego colta. — No, niech pan gada. Ilu was tam jest? Ilu idzie za panem?

Lipka zupełnie zgłupiał.

— Jestem... jestem sam... Za mną nikt nie idzie. Ja o czym innym...

— Ach, pan sam. Pogratulować odwagi. Skądże się pan dowiedział, że zwiąłem? No, gadać!

— To jest... nie wiedziałem...

— Zanim pańscy koledzy dostaną się do środka i tak będzie za późno. Był pan już w hali, panie Lipka? Widzisz, przyjacielu, jak pamiętam twoje nazwisko. Co prawda, pana najmniej się tu spodziewałem.

— Ja myślałem, że pana profesora nie ma.

— Po co te bujdy? Dobrze, że pan wpadł tu, młody człowieku. Pan jeden zrozumie, jaką ludzkość poniesie stratę! Zrozumie pan, co stracie!

Lipka spostrzegł, że profesor drży na całym ciele, że mówi urywanym głosem, że twarz uczonego jest przezroczyście blada, a oczy rozżarzone. Co to wszystko, do diabła, znaczy? To spotkanie, te słowa, ta gorączka? Lipce przyszło na myśl, by wytrącić staremu rewolwer i natychmiast uciec na powierzchnię. Najbardziej zastanawiające było to, że uczony we własnej

willi czyhał z rewolwerem w dłoni. Na kogo? Być może, bierze Lipkę za zbrodniarza, nie wiedząc, iż za chwilę prawdziwy przestępca, ten, który zabił strażnika, ma wkroczyć do akcji.

— Panie profesorze, spokojnie wyjaśnijmy sobie wszystko.

— Już próbowali. Szkoda każdego słowa. I niech pan nie myśli, że wybije mi broń z ręki. Jestem silny. Gdy byłem w pańskim wieku, dorabiałem sobie jako tragarz i strzelam świetnie. Nawet kiedy jestem zdenerwowany.

— Panie profesorze...

— Cicho. Najpierw pokażę panu wszystko. Potrzeba mi choćby pańskiego zrozumienia, zanim...

— Co mam robić?

— Wejść na górę, tam, skąd pan zszedł.

Lipka ostrożnie począł wchodzić na ażurowe schodki, w prawym kącie sali. Ciągle trzymał ręce do góry.

— Zejdź — powiedział nagle profesor — możesz opuścić ręce.

Lipka zawahał się. Nie mógł domyśleć się, czego właściwie chce od niego uczony. Ogarnęła go panika. Uciec, uciec natychmiast.

Skoczył nagle do góry. Kula świsnęła mu koło nogi, ale on gnał już korytarzykiem. Odbił metalową klapę i z wielkim krzykiem wpadł do oświetlonej hali. Ale krzyk, mimo że panowała tu idealna cisza, a postacie były tuż tuż, nie wywołał żadnej reakcji. Nikt się do niego nie zbliżył. Mógł dotknąć każdej takiej zamazanej, rozpędzonej istoty. Były na odległość ręki, patrzyły na niego. Niestety, zupełnie nie reagowały. Pochylił się do przodu i dłoń trafiła niespodziewanie na szybę. A więc to ekran? Gdyby miał do czynienia z szybą dzielącą halę na dwie części, istoty wprawdzie nie mogłyby go słyszeć, ale widziałyby go na pewno. Uderzył głowicą latarki w szybę. Bił z całej siły. Nie puszczała.

Zorientował się, że profesor Green stoi już obok.

— Oni pana nie mogą widzieć, panie Lipka.

— Dlaczego? — wrzasnął. Czuł, iż opuszcza go rozsądek. W oczach miał błyski szaleństwa.

— Ta szybka tylko z jednej, z naszej strony jest przezroczysta — odparł uczony.

— A oni? Kto to jest?

Profesor spuścił głowę.

VIII

Przed willą Kinsleya zatrzymał się stary, czarny Rolls Royce. Komisarz Little, w myśl instrukcji, musiał osobiście załatwić tę sprawę. Podszedł do furty. Otwarta. Zadzwonił do bramy. Nikt się nie odzywał. Zadzwonił drugi raz, długo naciskał guziczek. Odstąpił kilka kroków do tyłu i spojrzął w okna. Po chwili w parterowym oknie rozbłysła lampa, potem rozległ się szcęk klamki.

W tym momencie uczył dłoń na ramieniu Odwrócił się błyskawicznie. Za nim stał niski jegomość z brzuszkiem Był w ciemnym trenczu i — podobnie jak komisarz — miał kapelusz głęboko nasunięty na czoło.

— Proszę się wylegitymować — powiedział skrzekliwie.

— Sherriff, co za komedia? — mruknął komisarz Little.

Facet w ciemnym trenczu wyprężył się w postawie na baczność.

— Panie komisarzu. Szedłem... szedłem właśnie na obchód rejonu i spostrzegłem...

— Odmarsz! — syknął komisarz. Był wściekły, że dał się zaskoczyć. Bał się ośmieszenia w oczach swych podwładnych

Pułkownik sam otworzył bramę.

— Little? Ach, panie Little, proszę na górę — powiedział do komisarza. — Rozumiem, że coś się stało Dlaczego nie uprzedziłeś telefonicznie? Co?

— Nikt się nie odzywał, panie pułkowniku

— To moja wina — rozległo się metalicznie na szczycie piętra. — Z przyzwyczajenia wyłączyłem przed snem wszystkie aparaty. Przepraszam

— Co za nieostrożność — złościł się pułkownik.

Przecierał zapuchnięte od snu oczy. Komisarz Little zamilkł na głos Kinsleya. Nie wiedział dokładnie, jak dalece potentat wtajemniczony jest we wszystko.

— Możesz pan mówić. Zresztą chodźmy do salonu — mruknął pułkownik.

Kinsley, odziany w długą jedwabną pidżamę, wprowadził obu do zastawionego antykami i zasłanego kobiercami pomieszczenia. Komisarz z zazdrością przypatrywał się bogactwu tej sali. Ci szefowie nieźle się dorobili! A człowiek musi harować od rana do wieczora i gnieść się wśród ratalnych mebli, w małych, niby nowoczesnych pokoiczkach z liczną rodziną. Psiakrew! I jeszcze meldować się po nocy.

— Co się stało? — zapytał ostro Kinsley.

Komisarz Little opowiedział historię z Ritą.

— A gdzieś pan podział tę Ritę? — zapytał pułkownik, zaskoczony informacjami.

— Siedzi u nas. Zamknąłem wedle rozkazu — odparł Little.

Pułkownik chodził nerwowo po pokoju. Kinsley siedział spokojnie w głębokim klubie, zaciągając się dymem.

— To wracaj pan do domu — powiedział niespodzianie — a ta paniusia niech sobie posiedzi. Zaraz otworzę telefony. W razie czego damy panu znać. Gdyby były jakieś sensacje, pan nam...

Little czekał, aż pułkownik powtórzy rozkaz. Kinsley ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

— No?

Little nie ruszył się z miejsca.

— Rób to, co mówi pan Kinsley — powiedział pułkownik. — Idź do siebie i czekaj na dalsze rozkazy. Zdaje mi się, że ta noc nie będzie spokojna.

Komisarz wyszedł.

Pułkownik stał przy oknie i obserwował jego odjazd.

— Czy nie za dużo ludzi wciągnąłeś do tego? — zapytał go Kinsley. — I co ty na tę historię z Zuzanną Hay? Dlaczego jej dotychczas tu nie ma? Co?

— Przecież nie wie, że w tej chwili tutaj jesteśmy. Szuka nas. To jasne. Tam się coś stało — pułkownik wyrzucał słowa w wielkim zdenerwowaniu.

— A Lipka? — zapytał zniecka Kinsley.

Pułkownika poderwało.

— Ja mu, ja temu idiocie... On nam gotów narobić biedy.

— Zdolny gość. Umyślnie go nie doceniałeś. Co?

— Zadzwoń do Little'a. żeby tego małego pokrakę dostawił mi do rana żywego lub umarłego.

— Zostaw — odparł Kinsley. — Raczej zadzwońmy do Malone'a i uprzedźmy. Tak, na wszelki wypadek.

— Racja, racja.

Podniósł słuchawkę małego aparatu stojącego we wnętrzu gablotki. Telefon łączył bezpośrednio z willą profesora Greena.

— Nie odzywa się. — Pułkownik był zaniepokojony. Zmarszczył brwi.

— Pewnie chrapie — rzucił z uśmiechem Kinsley.

W słuchawce zachrobotał zaspany, niemrawy głos.

— Dobudzić się ciebie nie można! — sarknął pułkownik — Że co? Że wcale cię nie budzę? Że jesteś zapracowany? Powiedz to komu innemu. Słuchaj, jest taka rzecz. Jeden z moich współpracowników podjął śledztwo w sprawie „Giganta” na własną rękę. Że co? Jakich współpracowników mam, to mam. Nie twoja sprawa. Otóż ten Lipka. On się Lipka nazywa. Znałeś go? Tym lepiej. Wiesz, jaki to padalec, jaki wścibski! On się może trochę kapować we wszystkim. Podobno mnie i Kinsleya ma na oku. Kto wie, czy i ciebie nie. Nie boisz się go? Idiota. Nie o to mi chodzi. Chodzi o to, żeby się do ciebie nie dostał. Rano już my go złapiemy. Spokojna głowa. Żebyś szedł spać? Mowy nie ma. Hay tu widziano. Pojmujesz? Tym bardziej trzeba strzec willi. Nie leń się, Malone! Nie leń się, idź natychmiast zbadać, czy strażnicy czuwają i czy sygnalizacja dobra. No! Tak, tak. Tylko dokładnie i prędko Czekam.

Odłożył słuchawkę. Wyjął papierosa i zapalił.

Upłynęło kilkanaście minut nerwowego oczekiwania.

Wreszcie zadzwonił telefon. Obaj odetchnęli z ulgą.

— No? — pułkownik przycisnął słuchawkę do ucha. — Co? Co? — krzyknął. — Alarmować? Tak. Chyba tak. W razie czego strzelaj bez pardonu. Zaraz tam będziemy. Wejdzimy od tyłu. Dobrze.

— Co jest? — Kinsley zerwał się z fotela. Przygniół papierosa na dywanie.

— Ten Lipka dostał się do środka. Zabił strażnika. A może i obu. Malone nie mógł sprawdzić, bo bał się wyjść na podwórze. Jeden strażnik leży w hallu z rozwaloną szyją, zakryty własną marynarką. Jak do tego mogło dojść? Lipka zawsze unikał mokrej roboty. Co on u diabła zwąchał? Wyobraź sobie, zamknął się na dole. Będzie skandal. Bo tych sezamów bez hałasu nikt nie otworzy. Chyba żeby wezwać Greena.

— Jak go wezwiesz? W tym nastroju, w jakim on teraz jest?

— Prawda. Może przez Zuzannę?

— Przecież ona tu przyjechała. Także nie wiadomo z jakimi wieściami. Cholera!

W tym momencie przed bramą willi zahamowały ostro dwa samochody. Podskoczyli do okien. Z jednego wysiadła Zuzanna Hay.

Kinsley pobiegł otworzyć. Pułkownik toczył się za nim.

— Co jest? — zawołał Kinsley, mocując się nerwowo z bramą.

— Green mi zwiął. Może tu jest? — wykrzyknęła Zuzanna.

IX

— No, patrz pan — powiedział profesor Green. Raz się uspokajał, to znowu ręka z rewolwerem mu latała. Lipka tylko czekał dogodnej chwili, żeby mu wyrwać broń. Green musiał zauważyć jego czujne spojrzenia.

— Nie myśl — powiedział — że im utorujesz drogę. Nawet gdyby ci się udało mnie rozbroić, nie wyjdiesz stąd. Te wszystkie drzwi i klapy zamykają się automatycznie. Ja nimi rządę.

Lipka milczał. Stał naprzeciw przezroczyściej ściany, poza którą szalały owe podobne do ludzi istoty. Trudno było oddzielić jedną postać od drugiej, niemożliwe uchwycić ruch ręki lub nogi. Nieznośna była niemożliwość ustalenia pozycji tych istot. Mieszały się w powietrzu i na ziemi, kłębiły się, rozpadały i łączyły. Tylko nosy i czoła ostro zarysowane świadczyły o ich indywidualnym istnieniu i podobieństwie do ludzi. Starał się nie patrzeć w tę stronę.

— Pan nie wiedział w ogóle, co pan tu zastanie? — pytał Green. — Nie wiedział pan! To jest moja fabryka. Fabryka wiecznych ludzi. Za tą szybą można przeczekać nas, nasze dzieci i wnuki. I prawnuki. Poszedłby pan tam, gdyby miał pan pewność, że przeżyje pan wszystko i wszystkich, że będzie pan żył wiecznie? No! Przyłączyłby się pan do nich? Gadaj!

— Nie wiem. Ja tego nie rozumiem — jękał Lipka, patrząc w obłądne oczy uczonego.
— Raczej nie.

— Ja się także wahałem. Tak. Wahałem się. — Zresztą — Green jakby się sam przed sobą usprawiedliwiał — zresztą, musiałem pozostać po tej stronie jako łącznik, jako opiekun. Ale tamci — dodał w zamyśleniu — szli na lep. Pamiętam. Wyciągałem ich jak ryby z wody, półprzytomnych, śniętych i pytałem, każdego pytałem: — Chcesz żyć wiecznie? Tak samo jak pana teraz pytam. Większość chciała. Niektórzy szaleli nawet z radości. Ale pan nic nie rozumie? Co?

— Co to znaczy fabryka wiecznych ludzi? To są ludzie?

— Uczyłeś się kiedyś fizyki, przyjacielu, a może czytałeś... Wiesz kto to był Einstein? Jeśli nie wiesz, to głupstwo. Głupstewko. U mnie możesz zobaczyć na własne oczy jego teorię. Musisz zobaczyć. Wtedy ocenisz, co zrobiłem, a co chciałem zrobić. I to dla kogo? Dla takich jolopów i szpicli jak ty. Po co tobie wieczne życie? Cóż byś robił przez wieczność? Piłbyś, żarł, spał sam i nie sam. Jeździłbyś samochodem, samolotem. Więcej ci nie potrzeba. Czy to warte wiecznego życia?

Green mienił się na twarzy, to bladł, to czerwieniał. Lipka poczuł litość. Ten człowiek coraz bardziej tracił swą niezwykłość i był podobny do wszystkich. Tak podobny, że to się aż śmieszne wydało Lipce.

— Kiedy byłem w pańskim wieku, koledzy mnie nienawidzili. Uważali mnie za dziwaka i odludka. Posądzano mnie o karierowiczostwo. Pracowałem jako starszy asystent jednego ze znanych uczonych. Wydzierał mnie i innym asystentom nasze osiągnięcia i umieszczał w swoich wiekopomnych publikacjach. Wielu poważnych uczonych żeruje na harówce młodszych kolegów. Zjawisko raczej naturalne. Ten mój uczonec wygłaszał przy tym piękne myśli. A gdy chodziło o ojczyznę, mawiał: — Jak sądzisz, Green, czy mógłbym ojczyźnie czegokolwiek odmówić, czy mógłbym oprzeć się pokusie uszcześliwienia swoich współziomków? W tym nie tkwiła ani odrobina cynizmu. On gadał tak serio, a ja odpowiadałem ponurą miną i skinieniem głowy. Swoich poglądów nie wyrażałem otwarcie. Uszcześliwianie współziomków polegało także na unieszcześliwianiu tych, których współziomkowie uważali za wrogów. Wrogów liczyło się na miliony. Przyjaciół na palcach. Świat, panie Lipka, jest tak urządzony, iż może nim rządzić tylko, mała grupka. Na to nic nie potrafimy poradzić. Za to ja obiecywałem sobie: Gdy tylko trochę wyrosnę, to znaczy, gdy zdobędę odrobinę sławy, zwalę mego starego z katedry, zajmę jego miejsce i spróbuję inaczej. Przestanę uszcześliwiać. Przestanę tworzyć wynalazki, które dla nielicznych oznaczają wygodę, dla reszty zgubę. W każdej chwili, w każdym momencie najgorsze może się zacząć. A ja nie chciałem przyczyniać się do tego najgorszego. Co dalej? Co będzie? Jak to się skończy? Oglądasz moich wiecznych ludzi i dziwisz się ich zamazanym ruchom? Zaraz sam zobaczysz...

Lipka przestraszył się. Zaczął się cofać ku klapie wejściowej. Miał do czynienia z wariatem, zbrodniarzem czy uczonec?

Profesor chwycił go kurczowo za rękaw marynarki.

— Ja wiem, co pan pomyślał — zawołał. — Masz do czynienia z każdym z tych typów. Na pewno jestem wariatem, na pewno popełniłem zbrodnię, na przykład zabiłem dwóch strażników, bo bronili mi tu wstępu, i dokonałem wielkich odkryć. A chciałem być tylko uczonec. Myślałem, że czynię najlepszy wybór. Uczony nie ucieka od niebezpieczeństw tego życia. Przeciwnie, wpada w najgorszą pułapkę. W tej pułapce nie jest tak jak na froncie. Tam panu każą zabijać i nie ma czasu na analizowanie — słusznie to robię czy nie. Jeżeli nie zabijesz — zabiją ciebie. Ciebie zabije taki sam jak ty facet. A uczonec ma czas do zastanawiania się. Analizowanie — to jego właściwy zawód.

Zbliżył się do Lipki z wściekłością malującą się na twarzy. Detektyw zasłonił się przed ciosem. Ale Green odwrócił się nagle, wskazując na skłębione, zamazane postacie za szybą. Krzyczał:

— Ja tych ludzi nie stworzyłem. Nie. Ja ich wypróbuję. Udało mi się stworzyć tu, na ziemi, strefę od ziemi zupełnie niezależną. Każdą cząstkę ciała tych istot doprowadziłem do gigantycznych szybkości. Mogliby przetrwać w tych warunkach setki, tysiące lat... Czegóż by przez taki okres nie dokonali? Chciałem wejść w ich społeczność. Byłbym z nimi przetrwał do epoki, w której mój wynalazek zostałby inaczej wykorzystany niż chcesz ty i twoi moco-dawcy.

Uspokoił się. Oddychał tylko ciężko i łyzy toczyły się mu po policzkach.

— Panie profesorze — powiedział cicho Lipka — przysięgam, że nikt nie wie o mojej wizycie u pana...

— Ach, jesteś taki głupi, że chcesz uspić moją czujność. To na nic. A jeżeli nawet, jeśli nawet mówisz prawdę, to i tak nie zmieni postaci rzeczy. Ścigają mnie lub będą za chwilę ścigać. Jaka różnica? Zaraz, zaraz, ale zamiast o wynalazku naplotłem niestworzone rzeczy o sobie. Chodź, pokażę ci...

Rozległ się dzwonek. Przerażliwy, nieprzerwany, świszczący.

— Co to? — krzyknął Lipka.

— Już są. Kłamał pan. To wstyd. Idą na pomoc. Dla mnie... dla mnie to znaczy... Mniejsza o to. Zanim zdołają wyważyć system tych drzwi, miną co najmniej trzy godziny. A przecież muszą działać w tajemnicy. Mamy czas, mamy wiele czasu, młody człowieku.

— Dlaczego muszą w tajemnicy? — spytał Lipka. — Kto to jest?

— Pan z pewnością udaje idiotę. W końcu zaczynam panu wierzyć. Może naprawdę nie wiesz, do kogo i po co tu przyszedłeś. Tym jesteś mi cenniejszy. Tym chętniej wszystko pokażę. No, chodź...

Pochwyił Lipkę za ramię i pociągnął w lewo, ku ledwo stąd widocznej klatce windy. Lipka rzucił ostatnie spojrzenie na ogromną halę: istoty kłębiły się w powietrzu, rozbijały o nieprzezroczystą z ich strony szybę, jak nietoperze oślepienie blaskiem tarzały się po ziemi. Sprężyny zwisające z sufitu poczęły znikać.

Green ciągnął go coraz mocniej.

— Prędszej, prędszej, bo nie zdążymy — przynaglał.

— Skąd pan ich wziął? — zapytał Lipka. Przeczynał odpowiedź, znał ją, chciał tylko, żeby profesor potwierdził.

— Oni są z „Giganta”. Ze statku, który zatonął na Atlantyku. To ich wyciągałem z wody jak śnięte ryby.

X

Świszczący alarm prześladował ich nieustannie. Początkowo nieznośnie wciskał się w uszy, denerwował. Ale szybko się do niego przywykało, jak do wody ciekącej ciurkiem z nieszczelnego kranu.

— Przyzwyczaił się już pan — powiedział profesor Green, widząc znikający z twarzy Lipki grymas. — Oni się teraz dobijają do pierwszych drzwi Rozwałą jedne, utkną na drugich i trzecich. Nim nas dosięgną, będzie za późno. Proszę się nie gniewać, że nie mogę wyłączyć sygnału. Im oni będą bliżej, tym dźwięk będzie przeraźliwszy.

Zjechali windą na niższe piętro, do salki obłożonej białymi kafelkami. W ścianach były okrągłe okienka, oprawione w metal. Pod nimi fotele przystawione do niewielkich pulpity, pełnych zegarków i czarnych pokręteł jak w aparatach radiowych.

— Niech pan zagłędnie przez to okienko — powiedział uczony — proszę się nie bać. Nie zobaczy pan tu żywych istot. Te, które pan widział na górze, stanowiły ostatnie stadium

mej pracy, o nich później. Tymczasem proszę.

Lipka znad środkowego pulpitu pochylił się ku oknu. Był przekonany, że ujrzał wewnątrz wielkiego akwarium. Jakaś błękitna ciecz wypełniała po sufit całe pomieszczenie. W niej, jak ryby, pływały na różnych głębokościach różnobarwne kule. Przypominały na pierwszy rzut oka bańki choinkowe. Zauważył natychmiast, że te bańki były różnej wielkości i nieustannie zmieniały rozmiary i kolor. Z małych, krwistoczerwonych robiły się różowe, pęczniały. Nabierały blasku i żółkły. Na niektóre nie dało się wprost patrzeć, tak białały i jaśniały. Co kilka sekund któraś z kulek nagle pękała jak fajerwerk, rozsypywała się tysiącem promieni i znikiała.

— Ma pan do czynienia z autentycznymi, miniaturowymi słońcami. Znajdujemy się głęboko, około 70 metrów pod powierzchnią morza. Przyptyw nagania do sąsiednich zbiorników masy wody. Specjalne urządzenia elektryczne wyłuskują z wody jej podstawowy składnik — wodór, a szczególnie jego ciężką odmianę. W tej tu sali, pod wpływem potężnych pól magnetycznych jądra wodoru skupiają się, łączą. Tak tworzy się z nich nowy pierwiastek — hel. Widzi pan te kule i kulki? To właśnie w nich zachodzą procesy łączenia się jąder wodoru, w nich powstaje hel. Taki sam proces zachodzi na prawdziwym słońcu, tym, co ogrzewa naszą starą ziemię, wyzwalając ogromne ilości energii. Jedna czerwona kulka, o — ta najmniejsza po prawej stronie, widzi pan? Zaczęła żółknąć. Mogłaby zrujnować całe Niebieskie Miasto w ciągu ułamka sekundy. Do czego ta energia potrzebna? Zobaczysz za chwilę. Bo u mnie wszystko można zobaczyć.

Lipka oderwał wzrok. Przed oczami mieniły się jeszcze kolorowe kule. Ale Green nie dał odpocząć. Pociągnął go za rękaw. Po lewej stronie były metalowe drzwi. Uczony otworzył je: grube jak w kasie ogniotrwałej. Przeszli wąziutki korytarzyk, Green puszczał Lipkę przodem, bał się ciągle ataku detektywa. Znowu pękate przejście, potem następny korytarz i jeszcze grubsze drzwi.

— No, niech pan tam wejdzie — powiedział Green, wpychając Lipkę do wysokiej klitki, której jedynym meblem było krzesło. Lipka zauważył, że całe wnętrze wyłożono tu miękką, wypukłą skórą. — No, niech się pan nie boi.

Detektyw zachnął się. Zaczął się mocować z Greenem.

— Proszę się nie bać — powtórzył Green — zostanę z panem.

Na ścianie, a raczej w ścianie, znajdował się zegar z literą „G” pośrodku. Skala podzielona była na dziesięć odcinków: od 90 do 0. Pod zegarem sterczała klamka, jak lewar biegów w niemieckim samochodzie DKW. Profesor starannie zamknął za sobą drzwi. Pociągnął klamkę. Wskazówka powolutku wędrowała od górnych wartości ku niższym. Lipka zorientował się, że traci poczucie ciężaru swych rąk i nóg. Starał się uchwycić poręczy fotela. Z trudem trafił do niej dłonią, ale oparł się zbyt silnie. Stracił grunt pod nogami i zawisnął w półleżącej pozycji tuż nad krzesłem. Profesor stał bez ruchu. Uśmiechał się. Wskazówka stopniowo wracała do dziewięćdziesiątki. Lipka niezręcznie stanął na podłodze, miękkiej jak wata.

— Teraz rozumiem, jak było na „Gigancie” — powiedział poblądłymi wargami — i jak zginęła pani Muller, tu, obok pańskiej wili.

— Tak, tak, tak — powiedział Green — rzeczywiście tak się zdarzyło. Podczas moich doświadczeń ich teren objął część ulicy. Popełniłem tę zbrodnię mimo woli.

Oczy miał rozbiegane. Ale uspokoił się szybko. Idąc przez wąskie korytarzyki za detektywem, od jednego przejścia do drugiego, mówił powoli, jak by się zmuszał, jak by tym mówieniem chciał zabić wyrzuty sumienia.

— Energii moich sztucznych słońc zawdzięczamy pośrednio to zjawisko: zanikania ciężenia ziemskiego. Energię zużytkowuję w specjalnych aparatach do skraplania takich gazów jak na przykład hel. Mam go pod dostatkiem z tych rozpadających się słońc. Uzyskuję w ten sposób temperaturę absolutnego zera. To takie zimno, w którym zamiera wszelki ruch cząsteczek. Koncentruję tę temperaturę na niezwykle małej przestrzeni. Można powiedzieć,

że strzelam zimnem jak z armat — do jednego celu. Koncentracja niskiej temperatury, plus olbrzymie pole elektromagnetyczne, pozwala mi redukować przyciąganie ziemi prawie do zera. Do zera! To się panu wyda śmieszne, ale gdyby z takiej strefy, pozbawionej ciężenia, ułożyć korytarz w powietrzu, wysoki na kilka kilometrów, to pan, odpychając się od powietrza jak od wody, dopłynąłby do krańca atmosfery. Bez helikoptera, samolotu czy balonu. Pan mnie...

W tym momencie sygnał alarmowy, do którego jednostajności obaj przywykli — zabrzmiał ostrzej.

— Wywalili pierwszą zaporę — wyjaśnił spokojnie Green — jeszcze pan zdąży wiele zobaczyć. Chodźmy dalej.

XI

Tafla szklana, jak w sali zamazanych ludzi, stanowiła ścianę pomieszczenia. Pokoik był mały i przytulny. Z lampy różowe światło spływało na rozścielony tapczan. Na krzeselku przy tapczanie — otwarta, założona wstążką książka, jak by ją przed sekundą ktoś niedbale odłożył. Na stoliku po lewej stronie od okna walały się w nieładzie talerze i talerzyki z resztkami jedzenia. Z przewróconej butelki wylały się na obrus krople wina i połyskiwały krwawo; nie zdążyły widocznie jeszcze wyschnąć. Z popielniczki pełnej niedopałków sterczał — dosłownie sterczał jak zrobiony z drzewa — pióropusz dymu A teraz najważniejsze: na tle okna, za którym w zielonkawym świetle iskrzyły się krzaki koralu i zielone piórka wodorostów — mięły obłe ciała przepływających nieustannie ryb. W środku stała para zupełnie nagich ludzi. Oplatali się ramionami. Ciało chłopca pochylało się nad ciałem dziewczyny. Zdawało się — lada chwila opadną na pościel. Jej głowa poddana do tyłu. Jemu włosy spadały z czoła i mieszały się z jej włosami, ciemnymi i splecionymi w węzeł. Byli przytuleni, z wargami podanymi do pocałunku, zupełnie nieruchomi. Niesamowicie nieruchomi. Na obraz — zbyt naturalistyczni, na rzeźbę zbyt krwiści. Pod przymrużonymi powiekami połyskiwały oczy, oczy widzące, ale zatrzymane w ruchu. Ciała mieli smagłe, napięte, paznokcie rąk i nóg mocno zaróżowione, na policzkach rumieńce. Ale trwali w uścisku bez jednego drgnięcia. Zupełnie jak ten dym z papierosa zastygły nad popielniczką, na stoliku pod oknem.

— Oni nie żyją — wykrztusił Lipka.

Uczony nie odpowiedział na jego pytanie. Oparł głowę o chłodne szkło i przypatrywał się scenie z uśmiechem rozrzewnienia. Tak minęło kilkanaście minut, może nawet pół godziny albo więcej.

Para trwała nieruchomo.

Lipkę ogarnęła panika. Ten szalony profesor zakonserwował na pewno ludzi, których kiedyś uśmiercił.

Przerażenie Lipki rosło. Nie będzie miał dość siły ani odwagi uwolnić się od tego człowieka. Od niego nie można uciec. Znalazł się w świecie bajki, ale była to bajka dławiąca gardło.

— Oni... oni żyją? — powtórzył, szturchając delikatnie ramię profesora.

— Żyją. Przysięgam panu, panie Lipka, żyją najzupełniej normalnie, jak pan i ja. Jak my... j e s z c z e żyjemy...

Lipkę przebiegł dreszcz. A profesor:

— To bardzo kochana para. Wierz mi, oni nawet gdy wyglądają przez to okno, nic nie widzą. Myślą tylko o sobie. Jak długo wytrwają? Dla mnie — tacy zostaną na zawsze. Na zawsze. Gdybym chciał czekać na ich rozstanie — musiałyby to potrwać dziesiątki godzin dla nich, a dla mnie? Setki lat. Rozumiesz? Każdy wynalazek — powiedział prawie wesoło

profesor — jak każda miłość, zaczyna się od głupstwa, od bzdurnego wydarzonka. Miałem kiedyś na stole dwa modele. Jeden był prymitywnym modelem atomu; złota kulka w centrum to jądro, a wokół niej krążą na różnych wysokościach, po cienkich prętach, planety — srebrzyste elektrony. Obok stało równie proste wyobrażenie kawałka wszechświata, modelik systemu planetarnego. Złota kulka — słońce pośrodku, a naokoło niej, na pręcikach, srebrne globy — planety odbijające blask słoneczny. I wtedy przyszło na mnie olśnienie. Powiedziałem sobie: jeśli teoretycznie możliwa jest podróż z szybkością światła po przestrzeniach międzyplanetarnych, to dlaczegoż by nie można takiej szybkości wykorzystać do rozpędzenia atomów żywego organizmu, tu na ziemi? Pan nie rozumie? Zaraz to bliżej wyjaśnię. Ze szczególnej teorii Einsteina wynikają sprawy paradoksalne, ale uchwytne dla ludzkiego doświadczenia. Promień światła biegnie ze słońca do ziemi około 8 minut. czyli w każdej sekundzie przemierza 300 tysięcy kilometrów. W laboratoriach rozpędzano cząsteczki materii do tej gigantycznej prędkości. Próbowano ją przekraczać. Otóż to niemożliwe.

— Profesorze, panie profesorze! — krzyknął Lipka. Piąte przez dziesiąte słuchał wywodów uczonego. Para zakochanych nachyliła się nad tapczanem tak bardzo, że w normalnych warunkach utrzymanie równowagi wydawało się absurdem. A jednak oni utknęli w pozycji sprzecznej z wszelkimi prawami fizyki i nie upadali.

— No cóż — odparł Green — oni się kochają, całują i pieścą. Za chwilę, to znaczy dla nas za jakąś godzinę, będą już leżeć. Za kilka minut — to jest za kilka miesięcy — zgaszą pewnie światło i miłość opanuje ich niepodzielnie. Ale my tego już nie zobaczymy. Nigdy nie zobaczymy, panie Lipka. Przynajmniej...

— Panie profesorze!

— Tak, tak, oni podróżują w przestrzeni, w swojej przestrzeni. Dla pojazdu pędzącego z szybkością światła przestrzeń jest krótsza, natomiast czas się rozciąga jak guma. Rojono sobie taką historię: z Ziemi wyrusza prędko jak światło pojazd. Jedzie na podbój planet, oddalonych od nas o miliardy, setki miliardów kilometrów. Godzina druga po południu to czas odlotu. Wsiada załoga i reguluje swoje zegarki według zegarków ziemskich. Gotowe. Rakieta już w locie, już w pierwszej sekundzie pochłonęła prawie trzysta tysięczków kilometrów, już za chwilę mija księżyc i mknie dalej. Po pewnym czasie zegarek ziemski wskazuje godzinę trzecią. Przed godziną odlecieli. Natomiast na rakiemie minęły dopiero sekundy, a raczej ułamki sekundy. A więc zupełnie inny czas notuje załoga kosmicznego pojazdu, a odmienny obserwatorzy ziemscy. Gdy, powiedzmy, po czterdziestu latach podróży astronauta powrócą na swą starą planetę, nie zastaną już na niej ani żon, ani dzieci, ani nawet wnuków, bo gdy dla nich, astronautów, minęły dopiero lata, na ziemi przeszły, przegalopowały miliardy, tak jest, dwa miliardy lat.

— Ja, posługując się prędkościami świetlnymi, przedłużyłem życie tym ludziom. Niech się kochają wiecznie, jeśli potrafią. Zbudowałem na Ziemi raketę podróżującą na skrzydłach światła.

— To znaczy, że ci zakochani... — zapytał Lipka, poczynając chwytając sens wykładu.

— Ci zakochani znajdują się w takiej rakiemie i sami są taką rakiemą.

— Jak to? Sami są?

— Pokój, w którym się znajdują, jedzenie, które dostają, przedmioty, których używają, i własne ich ciała — wszystko to poddałem działaniu rozpędzonych do prędkości świetlnych cząstek materii. Otóż — każda piędź ciała obojga zakochanych, ich mózgi, serca, nogi, ręce, żołądki — każdy przedmiot w pokoiku — składa się z rozpędzonych przeze mnie do prędkości światła — cząstek. Nie zmieniam ich kierunku. ich dynamicznej struktury. Tylko popędzam, popędzam w locie. Ot, i masz mój wynalazek. Ludzie w takich warunkach mogą żyć, w stosunku do nas, niemal wiecznie.

— To znaczy, że ich bezruch jest tylko pozorny?

— Pana to jeszcze dziwi? Dla nas ten ich bezruch jest prawdziwy, bo nasz czas płynie

szybciej niż ich. Ale oni tego nie dostrzegają, oni się ruszają i zachowują normalnie w swoim otoczeniu. Gdyby mogli nas widzieć za tą taflą szklaną, zdawalioby się im, że my pędzimy, że poruszamy się z nienormalnie wielką szybkością.

— Ale oni nas nie widzą? Dlaczego?

— Z prostej przyczyny. Tafla tylko jednostronnie przepuszcza światło. Od ich pokoju jest nieprzezroczysta. Zresztą — profesor zawiesił głos i zamyślił się. — Zresztą, mogę panu zademonstrować moją sztukę. U mnie wszystko można zobaczyć.

Zbliżył się uroczyście do zamaskowanych drzwiczek, na prawo od tafli, otworzył je. Zapaliło się światło: była tam maleńka kabina, w rodzaju budki telefonicznej, cała oszklona.

— Widzi pan ten przełącznik, ten koło drzwiczek, na wysokości pańskiego nosa?

— Widzę — odparł Lipka, dotykając kontaktu.

— Ja się zamknę w kabinie, a pan będzie patrzył na mnie i... i na zegarek. Gdy minie pięć minut, przekręci pan włącznik i wówczas, wówczas będę wolny. Jeśli tego nie zrobisz, jeśli nie zechcesz tego zrobić, będę musiał tam pozostać jak oni — wskazał głową całującą się parę — i nikt nie zdoła mnie uwolnić. Stamtąd po pięciu minutach nie ma już wyjścia. Gdybyś otworzył drzwi po tym okresie, umarłbym natychmiast na serce. Pozostawiony tam, stałbym się wieczny jak moja para. Pojmujesz? Pamiętaj, za pięć minut przekręcisz.

Nie czekając na odpowiedź zatrzasnął za sobą drzwiczki. Ze środka kiwał do Lipki ręką. Nagle ruchy zaczął mieć wolniejsze: dłoń coraz leniwiej przecinała powietrze, powieki zamykały się na całe sekundy i otwierały powolutku przez wiele sekund. Wtem wszelki ruch ustał. Profesor zastygł, lekko pochylony do przodu, z dłonią jakby wyciągniętą na pożegnanie.

Lipce pot wystąpił na czoło. Przestał patrzeć na uczonego — obserwował wskazówki zegara. Minęło trzy minuty. Oto ten straszny człowiek poddał mu się bez walki. Nie trzeba było nic robić, żeby go zniszczyć. Wystarczyło nie dotknąć kontaktu, albo dotknąć i przekręcić za późno. Lipka miał teraz w ręku swą karierę, swoje szczęście. Mógł skazać człowieka na śmierć — bo dla osób zamkniętych w kabinach jest tylko wieczność lub nagłe zejście ze świata. Podjudzał się: „Masz prawo to zrobić — masz pełne prawo usunąć faceta, który tak samo przysłużył się innym. Jeśli tego nie dokonasz dla swej kariery, to zrób to przynajmniej z zemsty za tamtych”. Spojrzał na parę. Młodzi byli ciągle zawieszani nad tapczanem, objęci, płonęli z miłości. Świat cały nic a nic ich nie obchodził.

Mimo woli otarł pot. Mijała czwarta minuta. Nie namyślając się dłużej, przekręcił kontakt. Poczul wielką ulgę. Po chwili spostrzegł, jak ręka profesora zaczyna się kołysać, jak powieki zapadają na oczy i wznoszą się coraz to szybciej. Wreszcie uczony się wyprostował. Drzwi otworzył na oścież. Wyszedł. Starał się nie patrzeć Lipce w oczy.

A potem podszedł do niego, wziął pod ramię, podprowadził do ściany ze szkła i wpatrywał się długo w zakochanych.

— Spełniłem ich największe marzenie — powiedział — oni niczego innego nie pragnęli, jak być na zawsze razem. Ale ja...

Nagle przeszył obu gwizd alarmu.

— Przerwali drugą zaporę! — zawołał Green. Jego spojrzenie nabrało znowu surowości, zaciał wargi. Ale zaraz złagodniał. — Zostańmy tu jeszcze chwileńkę — prosił Lipkę — muszę jeszcze na nich popatrzeć.

XII

— No i co? — powiedział uśmiechając się Kinsley. Obserwował pułkownika, jak spokojnie i z rozmysłem organizuje całą akcję. — Już przestałeś filozofować i stałeś się

zwykłym łapaczem?

— Tak, prawda — odparł pułkownik, przerywając na chwilę wydawanie rozkazów komisarzowi Little, który ciągle spode łba patrzył na Kinsleya — ostatecznie robimy zawsze tylko to, co musimy, zamiast tego co byśmy naprawdę chcieli. Mówiąc szczerze, nigdy nie interesowały mnie zbyt nowinki naukowe, choćby najbardziej rewelacyjne.

— Bravo! — zawołał Kinsley — i coś tam jeszcze mamrotał, ale zagłuszył go turkot. Coraz to nowe auta zajeżdżały na pustą dotychczas aleję. Wysypywali się z nich ludzie, natychmiast znikali i otaczali willę profesora Greena, kryjąc się w zaroślach, pod murkami, w zakamarkach ogrodów. Ten najazd nie budził żadnej paniki wśród mieszkańców sąsiednich domów. To byli sami swoi. Pułkownik nie wiedział, jak długo będzie musiała trwać akcja i czy w ogóle dojdzie do jakichś ostatecznych rozwiązań. Obsadzał willę na wszelki wypadek i na wszelki wypadek kazał palnikami rozwalać drzwi tarasujące drogę do laboratorium. Dojście do serca pracowni musi zabrać mnóstwo czasu, jeżeli w ogóle jest możliwe.

— On się gotów wysadzić w powietrze razem z tymi swoimi skarbami — mówił do Kinsleya i Zuzanny Hay.

— Źle się twoja podopieczna spisala — mruknął Kinsley, mierząc pogardliwie Zuzannę.

— Na pewno za dużo wypaplała. Cała nasza robota pójdzie na marne — pułkownik szarpał z wściekłością ramię Zuzanny Hay. Krzyknęła z bólu. Rozumiała, co ją czeka. Nie było dla niej żadnej ucieczki. Co zrobią z nią, gdy Green spełni swoje groźby, gdy wysadzi w powietrze siebie i swoje laboratoria? Będzie nie tylko niepotrzebna, stanie się bardzo niewygodna. Za dużo przecież wie.

Drżącymi palcami wyjęła z torebki zwitek papierów.

— Ukradłam Greenowi pamiętnik — powiedziała z trudem. To mógł być dla niej wielki atut. Kinsley zdaje się nie dosłyszał, zajęty zapalaniem kolejnego papierosa. Natomiast pułkownik przyskoczył, wyrwał jej zwitek z ręki i zaczął nerwowo przerzucać luźne kartki, patrząc, czy Kinsley go obserwuje. Ale prezes „Atlanty” albo na prawdę tego nie widział, albo udawał, że nie dostrzega.

— Eee — powiedział pułkownik — to nic ważnego, jakieś historyczne zwierzenia. Nic więcej, zdaje się. Luźne zapiski. Z tego się wiele nie dowiemy.

— Co mówisz? — zainteresował się Kinsley.

— Ach, Zuzanna przyniosła jakieś papierki i twierdzi, że to pamiętnik Greena.

— To jest pamiętnik — krzyknęła Zuzanna — widziałam, jak on robił zapiski.

— Pokaż — powiedział Kinsley,

— Teraz nie mam czasu — pułkownik lekceważąco wydał wargi — na takie bzdury, na bzdury — powtórzył. — Potem zbadamy. Dobra, Kinsley?

— Jak uważasz. — Kinsley mówił obojętnym tonem, ale uważnie obserwował, jak pułkownik zamyka pakiecik do schowka w gablotce.

Zuzanna straciła nadzieję. Pamiętnik nie zdołał jej uratować. Cóż pozostało? Zaczęła kokietować Kinsleya. Sądziła, że w ten sposób z każdym mężczyzną można sobie poradzić. Dostawała tysiące listów od wielbicieli z całego świata. Oświadczali się jej dyplomaci, egzotyczni książęta i milionerzy.

Ale Kinsley uśmiechnął się nawet złośliwie, gdy ona krzyknęła z bólu maltretowana przez pułkownika. Później nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Unikał nawet zetknięcia się z nią w przejściach. Szepnął tylko komisarzowi Little'owi: „Uważaj, żeby nie uciekła”.

Wyszli z pokoju. Szybko przeszli podwórzem do willi Greena.

Zamaskowane wejście z korytarza, wykrojone z trudem palnikami, wyglądało jak wielka dziura o poszarpanych kantach. Oświetlały ją reflektory. Stał tu Malone z dwoma robotnikami.

— No, jak? — spytał pułkownik.

— Całe szczęście, że dobrze znam te kazamaty i orientuję się w ich konstrukcji — odparł Malone, wysoki, przystojny młodzian o bardzo dużym wypukłym czole — nasi ludzie forsują już ostatnie zapory. Boję się najgorszego.

— Ciekawe, co oni tam we dwójkę robią? — Pułkownik udawał, że nie wyczuwa trwogi, która biła ze słów Malone'a — bo nie ulega żadnej wątpliwości, że oni są tam zamknięci we dwójkę. Ach, gdyby ten bydlak Lipka miał trochę oleju w głowie...

— Nie doceniałeś go — powiedział z wyrzutem Kinsley. — Dostać się do tej budy po nocy i to od strony morza, iść po śladach Greena. To wielki wyczyn! Ty byś się na to nie odważył.

— Może masz rację. Ale Lipka w niczym nie zmienia sytuacji. Myślę, że to już trup. A w ogóle żałuję, że bez decyzji pełnomocnika zacząłem to zniszczenie.

— Decyzję dostaniemy lada chwila — przerwał Kinsley.

— A Green tymczasem gotów wysadzić budę z nami wszystkimi.

— To całkiem możliwe.

Zamilkli, zagłębiając się w korytarz pokryty tynkiem i gruzem. Ostatecznie nie wszystko od nich zależało. Wiedzieli jedynie, że grozi im kompletna klęska. Zuzanna Hay nawet nie miała pojęcia, iż myślą o tym samym co ona. Że boją się o swoją przyszłość. Gdyby w tej chwili odważyli się sobie wzajemnie wszystko wyznać, mogli być uratowani. Mogli uciec. Mieli jeszcze do swojej dyspozycji helikoptery, auta, pociągi, samoloty. Zanim zdołano by się połączyć i wszcząć pogon, zwialiby niechybnie i może zdobyliby szansę nowego życia. Ale odwagi do zmowy zabrakło. Zresztą w tym kraju trzymały ich tysiące drobnych i wielkich więzów. Mieli majątki, ulubione kąciki, mieli żony, kochanki, dzieci, przyjaciół. Instynkt posiadania okazał się silniejszy od strachu. Liczyli na ostatnią szansę: na poddanie się Greena.

Przekraczali właśnie drugie rozwalone drzwi, gdy niski, tęgi funkcjonariusz dogonił ich i zadyszany głosem zawołał:

— Melduję. Natychmiast do telefonu.

Kinsley na wyścigi z pułkownikiem pędził do hallu. Malone podążał za nimi, zadowolony, że opuszcza niebezpieczny posterunek. Little z Zuzanną człapał daleko w tyle.

Pułkownik pierwszy przytulił słuchawkę. Kinsley przywarł do niego i łowił z zapartym oddechem każde słowo rozkazu.

— Kupić willę jak najtaniej. Targować się o cenę. W razie nieustępliwości właściciela zapłacić, ile zechce. Zapewnić mu wygodne mieszkanie.

Ostatnie słowa szyfru brzmiały:

— Zachować wielką ostrożność. Nie niszczyć mebli.

Pułkownik rzucił słuchawkę na widełki.

— Łatwo mu to gadać.

— Spróbujmy jeszcze jej wpływu. On ją naprawdę kochał. Nie ma innej rady — tłumaczył Kinsley popychając Zuzannę ku pułkownikowi.

— Teraz ty gadasz od rzeczy. Jak ona się tam dostanie?

— Niech skamle mu pod drzwiami. Niech jęczy, że ją maltretujemy, że ją zabijemy, jeśli on...

— Ty go nie znasz — zawołał Malone — nie znasz go, ja z nim tyle lat przepracowałem.

— A ja spróbuję — krzyknęła Zuzanna.

Pułkownik spojrzał na nią podejrzliwie.

— Naprawdę? Nie boisz się go?

— Nie — odpowiedziała, przypominając sobie dantejskie sceny na „Gigancie”. Statek szedł bardzo szybko na dno, choć morze było spokojne, a noc ciepłutka. Po pokładzie kłębiło się, rycząc i zawodząc, mrowie ludzkie. Marynarze także potracili głowy i nie mogli zaprowadzić porządku. Łodzie ratunkowe odpływały przepelnione i tonęły po pierwszych uderzeniach

wioseł. I nagle w pobliżu ukazało się w wielkim świetle czarne cielsko. „Ratunek, pomoc” — wołano na pokładzie. Istotnie z łodzi podwodnej podjechały motorówki. Uzbrojeni w automaty żołnierze pięściami i kolbami przywracali spokój. W pół godziny przeładowali wszystkich pozostałych przy życiu do niewielkiego pomieszczenia w brzuchu łodzi podwodnej. Pod koniec tej akcji nad morzem zjawiał się samolot. Zniżył się nad ginący statek i oświetlał go rakietami. Z łodzi posypały się strzały. Grzmiały działka przeciwlotnicze i karabiny maszynowe. Strzaskane skrzydło maszyny odpadło nagle i spłonęło jak papier. Samolot, koziołkując kilkakrotnie nad samą wodą, zarył dziobem w pianę, tuż za tonącym statkiem. Więcej nie widziała.

Potem kazano im wysiadać z łodzi na jakimś piaszczystym brzegu i pod eskortą popędzono do niewielkich, drewnianych baraków. Tu już były przygotowane sienniki. Rano wzywano wszystkich po kolei do komendanta łodzi. Pokoik był niewielki, o niskim, wspartym na belkach pułapie. Za stolikiem siedział Kinsley, obok niego stał pułkownik. I wtedy się to zaczęło. Najpierw spokojnie przypomnieli jej obowiązki jako agentki i tłumaczyli, po co jechała „Gigantem”. Za chwilę jeden trzymał ją za włosy nad kubłem z wodą, a drugi tłumaczył, kim ona ma odtąd być. Próbowwała krzyżeć, ale natychmiast wkładali jej twarz do wiadra. Aż straciła kompletnie wolę. Ze szczytu dobrobytu i radości, z marzenia o szczęściu wtrącili ją w piekło i bagno. Gdy spotkała się z profesorem Greenem, była już zupełnie posłusznym narzędziem w ich ręku. Musiała kochać Greena, być dla niego najczulszą kochanką, a równocześnie śledzić każdy jego krok. Miała delikatnie kierować jego postępowaniem i nakłaniać do współpracy z nimi. Wreszcie wyjechała z Greenem na północ. Sądziła, że w takich warunkach łatwiej go będzie „urabiać”.

A on zwał nagle przez okienko łazienki (wiedział widocznie, że frontowe okna są pilnowane przez agentów) i złapał najszybszy samolot, jakim w ogóle dysponowano. Po prostu — prywatną maszynę pełnomocnika rządu. Miał, jak twierdziła obsługa lotniska, podbity pieczęcią rozkaz. Gdzie go szukać? Kierunku nikt nie potrafił dokładniej określić. Było zarządzenie, że lotów maszyny pełnomocnika nie wolno kontrolować. Rozkazów słuchano nazbyt ślepo. To była charakterystyczna właściwość biurokracji tego kraju. Przed podjęciem jakiegokolwiek akcji należało się więc skontaktować z pułkownikiem. Dowiedzieć się o aktualnym miejscu pobytu tego dostojnika okazało się równie trudne, co szukanie Greena. Tajemnica służbowa zamykała ludziom usta. Wreszcie ktoś bąknął, że pułkownik wraz z Kinsleyem są w Niebieskim Mieście.

Zajechała do hotelu. Agenci tymczasem szukali kontaktu z pułkownikiem. I wtedy wpadła na tę idiotkę, Ritę, koleżankę gimnazjalną. Natychmiast powiadomiła o tym agenta. Powiedziała, że jest spalona. Pewnie kretynek już sprzątnęli. — Teraz na mnie kolej — pomyślała.

— Idę tam — powiedziała.

Szybko zbiegli we trójkę do podziemi. Dogonił ich Malone.

— Po co my się pchamy? — szeptał gorączkowo — on nie otworzy na pewno. To nie ma sensu. Powinniśmy się wycofać i tylko kazać ludziom rozwalać przejście.

— Wolałbyś nie ryzykować, co? — uśmiechnął się zjadliwie Kinsley. — No, jazda, Zuzanna. Wał w tę klapę. A gdy się odezwie, proś i jęcz.

— Nie, on nas nie może obserwować — szeptał Malone na pytające spojrzenie pułkownika. — Kiedy ona zacznie bić we drzwi i krzyżeć, on, jeśli urządzenie głośnikowe ma otwarte, będzie słyszał każde słowo.

— Wiemy to już, raz o tym gadałeś — odparł szeptem Kinsley — i jemu udzieliło się podniecenie — wyjmuj pistolet i stawaj za nią. Jak tylko otworzy — wskoczmy.

— To beznadziejne — upewniał go Malone, drżącą ręką sięgając do kieszeni.

— Stawaj! — rozkazał Kinsley, ustawiając się tuż za Malonem. Pułkownik trzymał się nieco dalej. Zrobił taki ruch, jak by chciał wybiec po obstawę. — Nie wołaj ludzi — ostro

wyświszczał Kinsley. — Nie powinni wszystkiego widzieć.

Zuzanna biła pięściami w drzwi i krzyczała. Błagała Greena, żeby otworzył. Wołała, że grozi jej śmierć, jeśli on jej nie uratuje. Mówiła prawdę. Zdawała sobie z tego sprawę i rozpaczliwie bombardowała kłapę. Kinsley oglądał się nieufnie. Pułkownik chyłkiem wycofywał się do rozwalonych drzwi.

— Tak, wycofuję się — powiedział bardzo cicho i niepewnie — i wam radzę. W ten sposób nic nie wskóramy. Trzeba rozwalić tę budę.

— Dobrze — zaśmiał się Kinsley — daleko nie uciekniesz. Zawiadomię pełnomocnika.

— Człowieku, ja chcę żyć!

— Jeżeli akcja się nie uda i tak długo nie pociągniesz. Wykończą cię. Nie widzę wyboru. Ale jak. chcesz — mówił Kinsley, a głos jego zagłuszały krzyki Zuzanny Hay. — Pamiętaj, jednak, że opuszczasz samowolnie najważniejszy posterunek.

— Mam w d...

Wycofywał się w popłochu. Biegiem zniknął w korytarzu. W tym momencie uchyliła się kłapa.

— To ty Zuza? — rozległ się niski głos profesora. — Spodziewałem się, że przyjdziesz.

— Ja... — powiedziała niepewnie.

Malone, naciśnięty przez Kinsleya, popchnął Zuzannę w uchylone wejście i sam, z pistoletem w rękę, skoczył za nią. Ale nim zdążył włożyć nogę w szparę, rozległ się świst i huk. Malone zatoczył się w tył, szukając oparcia i zwisnął na metalowej balustradzie. Kinsley ukrył się za załomem ściany. Ścisnął w dłoni pistolet, czekając na atak uczonego. Ale kłapa się zasunęła, a głosy poza nią oddalały. Słychać jeszcze było szloch Zuzanny. Kinsley ode-rwał się od ściany i wpadł w korytarz. Krzyczał ze wszystkich sił:

— Na pomoc, na pomoc!

XIII

— Po coś przysła? Stąd nie ma wyjścia — powiedział Green, patrząc uporczywie w pobladłą twarz Zuzanny. Spojrzenie przeczyło surowym słowom. Poznać było, że ona nie jest mu obojętna. Schował rewolwer. Ręce opuścił wzdłuż ciała. Postarzały przedwcześnie, złamany człowiek. Na Lipkę zupełnie nie zwracał uwagi.

— A gdybym się teraz na niego rzucił i spróbował go obezwładnić? — pomyślał Lipka. — Dałbym tamtym szansę rozwalenia drzwi i opanowania sytuacji. A jeśli się nie uda?

Obecność Zuzanny Hay, rzekomo zaginionej na „Gigancie” (poznał ją od razu — prasa przecież publikowała tysiące zdjęć ofiar katastrofy) upewniała detektywa, że ma do czynienia z bandą doskonale zorganizowaną i liczną. Tylko taka przecież mogła sfingować zniknięcie statku. Ale w czym imieniu działała? Jaki stawiała sobie cel? Jaką rolę odgrywali w niej pułkownik i Kinsley?

Chęć obezwładnienia profesora opanowywała go coraz silniej. Mimo chwilowego zamroczenia uczoney nie wyglądał na gościa, który nie będzie się bronić. Dużo zależało od postawy Zuzanny. Jeśli była narzędziem bandy, to powinna detektywowi pomóc. Chyba że naprawdę kocha profesora. Lipka poczuł, że ostatnia szansa ocalenia wymyka mu się z rąk. Nie chciał tej szansy zaprzepaścić. Jednak nie wyobrażał sobie walki. Nie, to nie tylko strach go paraliżował. Profesor budził sympatię i lęk, podziw i współczucie.

— Stąd nie ma wyjścia — powtórzył Green, nie spuszczać oczu z Zuzanny. — Jeśli sądziłaś, że uda ci się jakimś sposobem oddać mnie w ich ręce, pomyliłaś się.

— Nie, nie — zawołała Zuzanna, cała roztrzęsiona — nigdy nie chciałam ciebie sypać. Zmusili mnie. Torturowali...

Wyraźnie się go boi — notował Lipka — nie śmie się zbliżyć, nie umie przełamać nieufności. Jej wzruszenie nie jest szczere.

— Wiem, że cię zmuszali, wiem, że ci grozili. Dlatego zostań ze mną. Nie masz wyjścia, zostań ze mną. Chcesz?

Drżała na całym ciele. Widocznie nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Znasz historię mego odkrycia — ciągnął uczony — bardzo fragmentarycznie. Teraz zobaczysz wszystko na własne oczy. Zanim... zanim oboje postanowimy, co będzie dalej...

— Jim — zawołała rozpaczliwie — twój upór nie ma sensu. Dlaczego nie chcesz dla nich pracować? I żyć. Żyć! To twój kraj, twoja ojczyzna. Uszczęśliwiłbyś tych ludzi. I my... my moglibyśmy być całkiem szczęśliwi...

Tuliła się do niego coraz goręcej i coraz czulej namawiała. Lipce zrobiło się głupio. Melodramat. Wtem detektyw dostrzegł, że nadeszła sposobność. Dziewczyna ukradkiem wyciągnęła rewolwer z kieszeni Greena. Ratowała więc tylko siebie. Odskoczyła w tył, odsunęła bezpiecznik. Pragnęła profesora zastrzelić lub choćby zranić. Tamci byliby jej za to na pewno wdzięczni. I Lipka doskonale to zrozumiał, lecz nie pochwalał czynu. Nie skoczył na pomoc, chociaż spotkał jej przelotne, zdziwione spojrzenie. Profesor rzucił się naprzód. Strzeliła raz i drugi. Upadł. Ale natychmiast się zerwał, wytrącił pistolet z jej dłoni. Ach, upadek był zręcznym manewrem! Uczony, zgodnie z przewidywaniami detektywa i swoimi zapewnieniami, wykazał wspaniałą zręczność i siłę.

Zuzanna skuliła się przy ścianie. Głos uwiązał jej w gardle. Oblana potem oczekiwała strzału.

— I pana się muszę strzec — powiedział profesor spokojnie do Lipki, kierując na niego lufę. — I pan, choć człowiek z natury łagodny, nie wytrzyma wreszcie naporu zdarzeń. Ja ciebie rozumiem, Zuzanno — dodał łagodnie — nie zabiję cię, nie bój się. Stańcie obok siebie. I naprzód! — zawołał ostro.

Zagłębili się w słabo oświetlony korytarz połyskujący metalem ścian.

— W lewo! — komenderował Green.

Pomieszczenie przedzielała szklana zaporą, taka, jaką Lipka już dwukrotnie poznał. Odślaniała wygodny salon, wyłożony persami i pozlacanymi sofami.

Na ścianach wisały kopie obrazów wielkich mistrzów. Drzwi do salonu były z boku, omijały szkło po lewej stronie. Profesor kazał wejść tam Zuzannie. Opierała się, czepiała się jego ramion. Wcisnął ją do wnętrza przemocą i zamknął drzwi. Lipka zaczął żałować, że nie pomógł jej wykończyć profesora.

Green zbliżył się do zegarów i ciemnych pokręteł, umieszczonych na tablicy rozdzielczej naprzeciw wejścia. Delikatnym ruchem przekręcił jedno: igły zegarów ruszyły w prawo.

— Zuzanno, nic ci się nie stanie — powiedział.

Dyszał ciężko.

— Patrz — mówił gorączkowo do Lipki — patrz. Ja ją teraz uratuję. Tylko ją jedną. To, co dotychczas robiłem, było czystym fanatyzmem. Myślałem tylko o jednym: jak przyspieszyć myśli i czyny ludzkie tak, aby mieszkańcy tej planety mogli przeskoczyć wszelkie pułapki i nieszczęścia, aby żyli szczęśliwie i wiecznie.

Przerwał nagle i odsunął się od szyby, odsłaniając widok. Rozkraczył nogi, jak by bał się, że upadnie. Wyciągnął rękę i wskazał Lipce Zuzannę Hay.

Leżała na kanapie. Kilka kroków zaledwie od taflí szklanej. Spała? Umarła? Ledwo ją można było rozpoznać. Długie blond włosy zupełnie zbiały. Twarz przecinało tysiące głębokich zmarszczek. Stała się w ciągu minut zgrzybiałą staruszką. Profesor mówił drewnianym głosem:

— Nie, nie jestem mściwy. Po prostu uratowałem ją. Gdybym ją był stąd wypuścił — tamci wykończyliby. Za dużo wiedziała o i c h postępkach i moich wynalazkach. Czy mogłem i m wydać istotę, którą kocham? Musiałem tak postąpić, nie pytając jej o zgodę. Na

pewno wolałaby do nich powrócić. Łudziłaby się, że jakoś to będzie, a oni zakatrupiliby ją. Rozumiesz? Chodźmy. Możemy ją tu zostawić. Jest tak stara, że straciła częściowo pamięć. Zaoszczędziłem jej największej tortury: rozpamiętywania własnych czynów, gdy nie ma już żadnego wyjścia, gdy człowiek zagnał się sam, swoim postępowaniem, w ciemny, ślepy zaułek. Jak ja...

Lipka ocknął się. Oderwał wzrok od leżącej staruszki. Powolotku napinał mięśnie, zachowując ciągle na twarzy maskę zdumienia. Tym razem oszuka tego potwora. Nie miał najmniejszej wątpliwości: przed nim stał szaleniec zdolny do najbardziej wyrafinowanych zbrodni. To on zamordował panią Muller, a następnie zgodził się, milcząc, na cierpienia jej męża, skazanego niewinnie na dożywocie. To on zabił dwóch strażników własnej willi. To on zatopił „Giganta”, a jego załogę i pasażerów zmienił w króliki doświadczalne, to on — wreszcie — teraz, na jego oczach mści się na swojej byłej kochance, ubierając tę zemstę w szlachetne pozory.

Nie było wyboru. Lipka podkurczył nogi i błyskawicznym, potężnym susem przywalił Greena. Upadli na ziemię. Green był jednak silniejszy. Lewą ręką opasał przeciwnika jak żelazną, zaciskającą się obręczą. Prawą naciskał podbródek. Broda detektywa wędrowała coraz wyżej, czaszka gniotła ziemię, szyja napinała się, a kark wyginał w łuk. Lada chwila pęknie z okropnym bólem. Osłabł zupełnie. Ręce mu zwiotczały. Oczy zalepiła mgła.

Wtem uścisk zelżał. Lipka przemógł ból i zerwał się z podłogi. Profesor stał nad nim z wyciągniętą dłonią, w której tkwił rewolwer.

— Strzelaj! — powiedział.

Lipka stał podpierając się plecami o ścianę. Nie pojmował jeszcze tych słów. Oczekiwał raczej niespodziewanego ataku. Ale Green wcisnął w jego miękką dłoń rewolwer i wołał coraz donośniej:

— Strzelaj!

Lipka wyrwał broń i rzucił ją całym zamachem w tą szklaną ścianę, za którą... Ale co to? Staruszka Zuzanna Hay otworzyła oczy. Momentu, kiedy wstała z sofy, nie można było pochwycić, jej twarz i ciało zamazywały się od szybkich ruchów, takich, jakie detektyw obserwował w hali zaraz po wtargnięciu do laboratorium. Upodobniła się zupełnie do zamazanych, wiecznych ludzi.

Profesor nie patrzył w stronę salonu.

— Czemu mnie nie zabiłeś? — zapytał — przecież mogłeś. Jeszcze możesz. A widzisz, a widzisz, przekonałem cię co to znaczy wolność. Wolność to swoboda dokonania wyboru między różnymi możliwościami, z pełną świadomością konsekwencji tego kroku.

Lipka potrząsnął głową.

— Co to wszystko znaczy, Green? — pierwszy raz odezwał się do uczonego per ty. Zniknęły między nimi wszelkie przegrody. Znali się jak gdyby od wielu lat. Profesor nie rozumiał pytania.

— Po prostu — odparł — przy użyciu specjalnych prądów, kombinowanego promieniowania atomowego i zastrzyków, które niewidzialnie przenikają przez skórę do wnętrza organizmu, przyspieszam wszelkie procesy życiowe. Zaznaczam: jest to zupełnie inny proces od tego, który zademonstrowałem panu na parze kochanków. Tam przyspieszałem każdą cząsteczkę organizmu — tu reguluję prędkość przemian organicznych. Działam na chemizm komórek. Ludzie tak traktowani pracują i myślą miliony razy szybciej niż normalni. Niestety, szybciej dławi ich starość. Potrafię postarzać ludzi w ciągu kilku minut. Spójrz — ona, zamazana od szybkości, jaką jej nadały moje aparaty, postarzała przedwcześnie, odpływa w kierunku hali, tej hali, którą widziałeś na początku. Tam połączy się z resztą pasażerów, byłych pasażerów „Giganta”. Pójdziemy za nią. Wydobyłem tych ludzi z tonącego statku, przyspieszyłem ich pracę i myśli, zmuszając do wykonania większości urządzeń tego laboratorium w tempie niesłychanym. Setki lat musiano by je konstruować w naszych normalnych

warunkach. Moi — budowali zaledwie kilka tygodni. A gdy się zestarzeni i zagroziła im śmierć, zamknąłem ich w pracowni wiecznego życia, takiej samej, jaką stworzyłem dla pary zakochanych, którą oglądałeś. To pozwoliło mi na jeszcze szersze zastosowanie przyspieszenia. Przecież nie grozi im śmierć. Mogliby w ten sposób przetrwać tysiące lat... gdyby...

Przerwało mu nagłe rozkołysanie korytarza. I zaraz nadszedł huk i silny podmuch. A potem cisza, aż dźwięcząca w uszach. Sygnał alarmowy przerwał swą piskliwą melodię. Green stał chwilę oniemiały, rozglądał się na wszystkie strony. Wreszcie pędem runął w korytarz. Lipka szybko stracił go z oczu.

XIV

— Na pomoc, na pomoc! — wołał Kinsley, uciekając w panice z sali, w której leżał Malone, zastrzelony przez Greena. Za otworem, wychodzącym na korytarz willi, natknął się na czarną lufę automatu. Zza drzwi na werandę biło już światło poranka.

Przed nim wyrósł komisarz Little i atletyczny policjant. Ten właśnie celował mu w sam brzuch.

— Komisarzu — Kinsley z trudem hamował zadyszkę — dlaczego nikt nie idzie na pomoc? Tam... tam przecież leży zabity Malone! Dlaczego? — nie mógł dalej mówić, tak był zmęczony. Ale mimo woli poprawiał krawat i otrzepywał ubranie. Wracała mu przytomność.

— Pan wybaczy — odparł grzecznie — ale pułkownik, wychodząc stąd — to w y c h o d z ą c zabrzmiało kpiąco — nie wydał żadnych rozkazów. Widocznie...

— To ja panu rozkazuję, słyszysz pan? — krzyknął Kinsley w samą twarz Little'a.

— Bardzo przepraszam, ale ja najpierw muszę się porozumieć z pułkownikiem. Bardzo przepraszam, ja wiem, że pan tu odgrywa jakąś ważną rolę, ale moim bezpośrednim zwierzchnikiem jest pułkownik — odparł kłaniając się komisarz. Ucieszył się, że może odegrać się na tym facecie, choćby przez chwilę, za jego nonszalanckie zachowanie podczas nocnej wizyty.

— A gdzie pułkownik? Musiał tędy prze... przechodzić — Kinsley stonował głos.

— Pułkownik, jak zdążyłem zauważyć, udał się do pańskiej willi.

— O! — zawołał Kinsley.

Little tymczasem nie czekając na dalsze pytania, wydał rozkaz policjantowi, aby pilnował przejścia, a sam szybko wyszedł na werandę i skierował się do willi.

Kinsley dwoma susami wysforował się przed niego. To tak? Więc to tak? Pułkownik zamiast się zupełnie wycofać, oczekuje w willi na rozwój wypadków. Nagle prezes firmy „Atlanta” pojął wszystko. Toż w schowku jego własnego gabinetu tkwi rewelacyjny dokument: pamiętnik profesora Greena, przyniesiony przez Zuzannę i umyślnie przez pułkownika zlekceważony.

Minał biegiem Little'a, spokojnie idącego ulicą, która wydawała się zupełnie pusta, choć po różnych kątach kryli się policjanci i agenci, i wpadł do swojej bramy.

Zwolnił kroku i obejrzał się. Zauważył, że Little zatrzymał się przed wejściem, potem zawrócił. Jasne, nie chciał być obecny przy rozprawie dwóch szefów — jednego oficjalnego, a drugiego — uzurpatora. Lepiej zobaczyć co z tego wyniknie... Dobra — pomyślał Kinsley. Skradał się teraz cicho do swego gabinetu. Dywan kokosowy głośny kroki.

Zaglądnął przez szparę. Rzeczywiście — pułkownik manipulował przy schowku. Wyjmował teczkę z pamiętnikiem Greena. Człowiek, który tę stertę papieru posiada, stanie się bezcenny. Zdobędzie zapewne naukowe wyjaśnienie wszystkich poczynań i wynalazków uczonego. Nawet w razie wysadzenia laboratorium w powietrze odnajdzie tu wskazówki, jak odtworzyć genialne pomysły, jak je wykorzystać.

Kinsley nawet nie marzył o sterroryzowaniu pułkownika pistoletem. Pułkownik wiedział przecież dobrze, że prezes strzelać nie może, bo zostałby natychmiast nakryty. Pamiętniki znalazłyby się wówczas w trzecich rękach. A tego obaj najbardziej się obawiali. Dlatego pułkownikowi musiało zależeć na jak najcichszym porwaniu dokumentu. Trzeba działać podstępem i zaskoczeniem.

Kinsley zwinnie wcisnął się do pokoju i ujął pistolet za lufę, pragnąc się nim posłużyć jak maczugą. Walnie w łeb pułkownika, oszołomi go, wydrze pamiętnik, a potem ukryje dokument i będzie dyktował swoje warunki pełnomocnikowi rządu. To jedyny sposób ocalenia z tej całej paskudnej historii. Pełnomocnik nie będzie się targował. Sam zagrożony na swej posiadzie, złagodnieje prędko. Kinsley znał dobrze drabinę systemu władzy.

Naprzód więc. Żeby tylko pułkownik...

Ale pułkownik czuwał. Odwrócił się ku drzwiom, zanim Kinsleyowi udało się wyminąć fotel dzielący go od przyszłej ofiary. Błyskawicznie ukrył lewą rękę z kartami pamiętnika za plecami, a prawą zagłębił w marynarce, w poszukiwaniu broni. Stali naprzeciw siebie i uśmiechali się uprzejmie.

Kinsley drobnymi kroczkami przysuwał się coraz bliżej. Pułkownik, wściekły, że ma jedną rękę zajętą, nie wiedział jak postąpić. Wypuścił pamiętnik z ręki — karty rozłożyły się w wachlarz na dywanie. Czekał teraz, aż przeciwnik się schyli i wtedy zada cios kolbą rewolweru. I po wszystkim. Ale Kinsley udawał, że nie widzi pamiętnika. Znowu posunął się o krok, patrząc kumpłowi prosto w oczy. Ten już nie wytrzymał.

— Słuchaj — powiedział — ten pamiętnik dałby nam obu wielką szansę. Jeszcze wygralibyśmy wszystko, co straciliśmy przez własne niedołęstwo.

— Chyba myślisz o swoim niedołęstwie. — Kinsley zatrzymał się. Bał się ataku pułkownika. Jego podkute buty były zbyt blisko. — A co do pamiętnika, to ja przede wszystkim powinienem go doręczyć pełnomocnikowi.

— Proszę bardzo, weź go. I natychmiast porozumiemy się z szefuniem.

— Sam go podnieś.

— Ani mi się śni.

— Słuchaj, nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Ty stara świniu. Lada chwila ktoś może wejść i wtedy wszystko szlag trafi. Idioto!

— Schylaj się sam, durniu.

Kinsley cofnął się gwałtownie, spodziewając się, że pułkownik skoczy na niego. Pochylił się i z całej siły szarpnął róg dywanu. Pułkownik, straciwszy oparcie pod nogami, zakręcił się w miejscu na czubkach palców i runął jak długi na podnoszącego się właśnie Kinsleya. Milcząco objęli się i poczęli szamotać. Pułkownik zdołał zębami uchwycić ucho Kinsleya. Kinsley po omacku szukał butem kostki przeciwnika. Wreszcie się udało. Chwył policjanta zelżał, ale zęby na uchu zacisnęły się mocniej. Pułkownik starał się dłonią ominąć nos i przedostać do jego oczu

— Dasz pamiętnik? — mruczał Kinsley, skręcając głowę z bólu. Nie mógł odepchnąć przeciwnika przez to przekłete ucho. Zamiast do oczu, udało mu się z trudem wsadzić dwa palce do wilgotnego nosa pułkownika, szarpał je paznokciami. Pułkownik rzucił się do tyłu, pociągając nieszczęsne ucho. Upadli na dywan.

— Świnia — jęczał Kinsley.

— Bydlę — mruczał pułkownik.

— Co za ubogi repertuar! Panowie, proszę głośniejsze, nie krępujcie się — wołał niski kobiecy głos.

Puścili się natychmiast i z trudem gramolili z ziemi. Kinsley trzymał się lewą ręką za krwawiące ucho. Pułkownik obmacywał opuchnięty nos. Wybałuszili półprzymknięte oczy. Na drogocennych pamiętnikach stała młoda szczupła szatynka. Lufę pistoletu kierowała to na jednego, to na drugiego i śmiała się cicho.

Ki czort — zastanawiał się Kinsley — nie znam tej agentki. Tak czy owak wszystko diabli wzięli. Posłusznie, czując jak nogi łamią mu się w kolanach, podszedł do ściany i stanął tyłem do kobiety, wyciągając w górę ramiona.

— Ty koło niego — powiedziała kobieta do pułkownika.

Zawahał się na moment. Wymierzyła pistolet i zbladła. Zastrzeli, cholera — pomyślał pułkownik. Nos bolał go coraz bardziej, oczy zachodziły mgłą. Słaniając się stanął koło Kinsleya. Nie mógł się powstrzymać od kopnięcia go w kostkę.

— To za nos — warknął.

Kinsley zawył, ale bał się opuścić ręce. Chwiał się przy ścianie. Gdyby nie ściana, upadłby na ziemię. Obaj panowie nie byli przyzwyczajeni do wyczerpującego fizycznego wysiłku. Stali tak minutę, dwie, może więcej.

— Pułkowniku, co to za heca?

Obaj odwrócili się od ściany. Pełnomocnik rządu patrzył na nich bez uśmiechu, spod zmarszczonych, gęstych i siwych brwi. Kobieta z pistoletem zniknęła. Może w ogóle jej nie było? Byli przecież półprzytomni.

— Kinsley, i ty także? Nie rozumiem. Bawicie się, czy co? W takiej chwili!

— Pppanie pełnomocniku — jęknął pułkownik — a gdzie ona?

— Jaka ona? Popiliście się? Bydło!

Za pełnomocnikiem stał kpiąco uśmiechnięty komisarz Little. Z satysfakcją patrzył na pokiereszowaną twarz Kinsleya i idiotyczną minę pułkownika.

— Kto ci odgryzł ucho? — krzyczał pełnomocnik. — Kto wam pozwolił pić? Mielicie szturmować. Mielicie sprowadzić mi Greena żywego czy umarłego. A wy tu chyba orgię z dziwkami urządzać. Ja was nauczę. Jazda! Dość tego. Łby pod tusz. I wysadzać mi tę jamę. No, nie ma chwili do stracenia. A nuż weźmiemy go żywcem...

Popędził do hali posiedzeń, za którą trzęsło się w posadach laboratorium profesora Greena. Pełnomocnik przezornie wycofał się po chwili do bramy, a potem do ogrodu, szukając bezpiecznego schronu. Strzeżonego Pan Bóg strzeże — myślał — rozkazuję im, więc oni muszą, ale ja nie. Najgorsze, jeśli on ich tam wysadzi w powietrze. Co wtedy ze mną? Dadzą mi łupnia moi szefowie.

Tymczasem huk rósł z każdą sekundą. Policjanci i agenci drżącymi rękami podłożyli pod ostatnią klapę wejściową do laboratorium wielki ładunek, łączyli zapłon.

— Komisarz, komisarz Little! — ktoś krzyknął. — Czy jest tu komisarz Little?

Wszyscy powyłazili z zakamarków. Komisarz Little wytoczył się spod ściany.

— Stało się coś?

— Cały komisariat, cały gmach się pali. Więźniowie, ci ze śledztwa, rozbiegli się po mieście.

Little nacisnął czapkę na głowę i pędem ruszył do wyjścia. Za nim osmolony agent.

— Sabotaż? — pytał w biegu.

— Cholera wie, to ta... — odparł agent. I coś tam jeszcze mamrotał, ale huk zagłuszał słowa.

— Stój! — wołał za nimi Kinsley. — Co nas obchodzi głupi komisariat? Tu są ważniejsze sprawy!

Komisarz nie słuchał. Zniknął w ciemnościach. Kinsley zauważył, że za nim chyłkiem wysunął się pułkownik. Nie należało dłużej zwlekać: lada chwila reszta ludzi mogła odmówić posłuszeństwa. Zmęczony i półprzytomny prezes firmy „Atlanta” znowu zbliżył palec do spustu mechanizmu.

— Ukryjcie się dobrze! — krzyknął na ludzi — a kiedy tylko odłamki opadną, pchać się do środka. Tylko ostrożnie, pod ścianami. On ma broń.

Za klapą, w laboratorium, huk stawał się coraz potężniejszy. Zdawało się, że to front i bije artyleria nieprzyjacielska.

XV

Oszołomiony tym hukiem i kołysaniem Lipka dopadł profesora Greena w oślepiająco jasnej sali „rozmażanych ludzi”. Uczony oparł się o ścianę. Twarz miał wykrzywioną, usta rozwarte. Ale milczał. Rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w przezroczystą szklaną taflę. Lipka poszedł za jego wzrokiem. Sytuacja była zupełnie odmienna od tej, którą obserwował, gdy dostał się tutaj po raz pierwszy. Zamazany od szybkości tłum kłębił się wokół wielkiej rury, dzielącej pomieszczenie na dwie równe części. Nie widziało się ruchów poszczególnych jednostek, tylko rura pękała, rwana na sztuki. Rozbryzgi metalu sypały się w powietrze jak iskry. Zniknęły także połyskliwe sprężyny, które poprzednio zwisały z sufitu. Przewody te, spływające z różnych stron na rurę — jak nerwy na kręgosłup, były poprzerywane i poskręcane. Zbita masa żywych istot tratowała je, wdeptywała w ziemię, rozbiła na proszek.

Lipkę tak pochłonął ten widok, że ani mu na myśl nie przyszło wykorzystać sytuację. Przecież teraz z łatwością mógł zaatakować Greena, ślaniającego się i bezbronno. Ale obraz kłębówiska istot rozszarpujących aparat, który niedawno ustawiały własnymi rękami, budził grozę i panikę. Tłum szalał. Grupy ciał odbijały się od sufitu, przelatowały z ogromną szybkością i uderzały o szkło tafli, jedynej zapory dzielącej Lipkę i profesora od reszty pomieszczenia.

— Czego... czego oni chcą — wyjąkał Lipka — co to znaczy?

— To znaczy... koniec — odparł niespodzianie Green, cicho i spokojnie.

— Koniec? — jęknął Lipka. I nagle począł wrzeszczeć: — Rób coś, Green, błagam. Oni to rozwalą. Dobiorą się do nas. Ratuj...

— To bunt — powiedział spokojnie Green. — Nic nie poradzę. Stworzyłem tym ludziom warunki, jakich żaden normalny człowiek nie ma na tej ziemi. Gdybyśmy mieli jeszcze czas, pokazałbym ci ich pokoje, ich rozrywki, rozkosze i ogrody jak z tysiąca i jednej nocy. Potworzyli tu rodziny, kochają się, zdradzają, przyjaźnią i nienawidzą. Budowali to laboratorium, rozszerzali je na przyjęcie nowych wiecznych ludzi. Pojmujesz? Załogę i pasażerów „Giganta” uczyniłem starcami, aby nabrali więcej doświadczenia i rozsądku. W ciągu minut mijały im dziesiątki lat życia, w ciągu sekund gromadzili wiedzę, którą normalnie zdobywać muszą całe pokolenia. Później zamknąłem ich w tym pomieszczeniu i przyśpieszyłem każdą cząsteczkę ich organizmów do szybkości równej niemal prędkości światła. Stali się wskutek tego prawie że nieśmiertelni. A ja dalej przyśpieszałem ich ruchy i myśli — stąd to wrażenie zamazania. Mogli się starzeć w nieskończoność. Mogli przeskakiwać w ciągu minut całe stulecia. Początkowo byli zadowoleni. Jedno mieli ograniczenie: nie wolno im było opuszczać tego ani sąsiednich pomieszczeń. I oto patrz: mam przed sobą z jednej strony moich zbuntowanych aniołów, a z drugiej — rewolwery policyjnych szpicli. W gruncie rzeczy każdy obywatel planety na rękach powinien mnie nosić.

— Pęka, ścianka pęka! — wołał Lipka, nie zwracając zupełnie uwagi na Greena. Jak urzeczony patrzył w tłum demolujący zaporę.

— Nie ma na co patrzeć — Green odwrócił się plecami do porysowanej, popękanej tafli. — Zawsze się bałem, że nie wytrzymają, że się zbuntują. Po cichu żywiłem nikłą nadzieję, że ten bunt nigdy nie nastąpi, że sam w ostateczności zniszczę moje dzieło. Moje nadzieje i niepokoje nie mają teraz znaczenia. Najmniejszego znaczenia. Nie bój się. I nic nie zdoła ich uratować, choć mogli żyć przez tysiąclecia. Pragną wrócić do swego dawnego sposobu życia. Czy to nie śmieszne? Mój wynalazek mógł z czasem objąć całą ludzkość. Mielibyśmy szansę szybciej pracować, szybciej myśleć i żyć miliardy lat! Myślałem, że przyśpieszając proces myślenia i pracy, przyśpieszę może jednocześnie proces „mądrzenia” ludzkości, że ludzie wyrzekną się wojen, kłamstwa, nienawiści. A tymczasem spotkała mnie podwójna klęska. Patrz, oni niszczą urządzenia, które utrzymują ich przy życiu, choć dosko-

nale wiedzą, czym to grozi. Zginą, zginą wraz z moim wynalazkiem, a pamiętaj, że jak zginą oni i ja — nikt na razie nie odtworzy tego wynalazku... Pragnąłem pewnego dnia wejść między tych ludzi, wyprzedzić wraz z nimi całą epokę i wraz z nimi stworzyć nową. Dlatego nie mogłem moich prac wydać władzom. Nasz ustrój dałby nieśmiertelność grupce żołnierzy potentatów. Nie chciałem do tego dopuścić. Rozumiesz? I przegrałem. Czuję się jak zbrodniarz.

Profesor zwrócił się ku huczącej coraz słabiej i gasnącej sali za taflą. Mętym spojrzeniem ogarnął ruinę. Staruszkowie byli coraz ostrzej widoczni. Ich ruchy stały się powolne. Ciała kobiet i mężczyzn spadały z sufitów na podłogę i więcej się nie podnosiły.

— Wraca tam ziemskie ciążenie — mówił beznamiętnie Green. Wyciągnął nagle palce zagięte jak szpony ku Lipce. Ale zaraz ramiona mu opadły.

— Nie dziw się. Wszyscy mnie zdradzili — powiedział z goryczą. Miałem kilku przyjaciół, ludzi, którym wierzyłem ślepo. Oszukali mnie, udawali, że mi pomagają, a starali się wykraść moje tajemnice i oddać je państwu, byli na żołdzie policji i wojska. Tak samo ona, Zuzanna. Jest jeszcze jedna rzecz... Chciałbym wytłuma...

Wybuch zagłuszył słowa. Profesor, czepiając się rękami taflí, przewrócił się powoli. Nad głową ze świstem przeleciały odłamki. A potem cisza. Detektyw zerwał się. Czuł lekkie oszołomienie. Green leżał wyciągnięty pod zupełnie zagasłą taflą szklaną. Z głowy sączyła mu się krew. Trafił go odłamek taflí.

Lipka zorientował się, że wybuch nie nastąpił w laboratorium. Odwrócił się. Z klapy, dzielącej to pomieszczenie od sali posiedzeń, wydostawały się kłęby duszącego, ciemnego dymu. Z dymu wypadli ludzie. Wtedy uświadomił sobie, że jest ocalony. I nie czuł z tego powodu radości.

Podszedł do niego Kinsley. Zobaczywszy leżącego profesora zawołał:

— Nie żyje?

— Ranny — odparł machinalnie detektyw.

— Brawo, panie Lipka. Należy się panu nagroda. A pański pułkownik to tchórz. Od dawna powinien był zająć jego miejsce.

To dopiero zelektryzowało Lipkę. Przypomniał sobie ostatnie niewyraźne słowa Greena.

— Musimy stąd wyjść. Niech mi pan pomoże wynieść go.

Kinsley z ciekawością przypatrywał się sali ze taflą. Światła tam już prawie nie było. Ledwo odróżniało się leżące postacie. Z rozwalonej rury buchał dym.

— Zniszczył to?

— Nie, nie on. Ale prędko, chodźmy! — odparł Lipka, zdziwiony swoją obojętnością. Wiedział, że biorą go za pogromcę Greena, czuł, że czeka go kariera.

— Nie wiedziałem, że pan zamiast pułkownika... — powiedział.

— Tak jest, kieruję akcją. I żadna konspiracja nie jest mi już potrzebna. Pan będzie moim najbliższym współpracownikiem. Sądzę, że docenia pan ten awans i... i... naszą rolę. Wie pan, będą wywiady dla prasy...

— Tak jest, szefie, doceniam — powiedział Lipka.

— Śmiejesz się?

— Nie, to tylko tak, z odprężenia.

Na dziedzińcu zgromadził się cały oddział. Powoli opuszczano ogród willi Greena. Pełnomocnik naznaczył spotkanie w domu Kinsleya.

— Laboratoria zabezpieczymy — meldował rzekomy prezes firmy „Atlanta” wysokie-
mu, szpakowatemu panu. — Pan pełnomocnik pozwoli, że przedstawię mu jednego z pogromców profesora Greena, detektywa — zająkał się, nie znał imienia — pana... pana Lipkę.

W tym momencie niesiony na zaimprovizowanych z prześcieradeł noszach Green podniósł głowę. Lipka to zauważył. Podbiegł do uczonego.

— Uciekaj! — wybełkotał Green — uciekaj!

Straszliwy podmuch rzucił na ziemię drzewa i wszystkich wychodzących z ogrodu. Willę otoczył słup czarnego dymu. Piał się wyżej i wyżej, aż zakrył niebo wielkim grzybem kapeluszem.

XVI

Spędzali ostatni wieczór w pokoiku na dziesiątym piętrze. Lekarze powiedzieli, że John jest już zupełnie zdrowy. Jutro, zaraz po rozprawie Greena, wezmą ślub i przeprowadzą się do nowego mieszkania. Sam pełnomocnik rządu będzie świadkiem ich ślubu w urzędzie stanu cywilnego. John ma murowany awans. Ale to właściwie nie jego zasługa, choć o nim rozpisała się cała prasa jako o pogromcy „uczzonego szaleńca”. O Ricie nie było ani słóweczka. Właściwie jej należały się laury. Cóż, nie można o tym pisać i basta. Naprawdę jednak tylko dzięki temu, że zdobyła pamiętnik Greena, liczone się z Lipką, obiecywano mu awans i dano im obojgu ogromną zaliczkę. Rita chciała opowiedzieć narzeczonemu o tym wszystkim, mimo że podpisała solenne zobowiązanie dotrzymania tajemnicy, ostatniej tajemnicy w tej skomplikowanej sprawie.

„Powie mu wszystko, do diabła” — myślała, przypatrując się jego zaciętym ustom i zwężonym oczom. Wiedziała co go gnębi. Od powrotu ze szpitala, po tym straszliwym wybuchu, kiedy to spłonęła spora część Niebieskiego Miasta i zginęło mnóstwo osób, Lipka był przygnębiony i milczący. Próbowwała z nim rozmawiać o tym co przeżył w laboratorium Greena, lecz udawał, że nie słyszy. Teraz, na dzień przed rozprawą Greena, był jeszcze bardziej podenerwowany niż zwykle. Chodził po pokoju wzdłuż i wszerz, co chwila potykając się o sprzęty i o walizki, do których Rita ładowała co lepsze rzeczy, gorsze postanawiając zostawić na pastwę losu. Gdy jednym przypadkowym kopniakiem rozwalił jej całą walizkę z kosmetykami, wściekła się.

— Przestań, wariacie, bo cię zostawię z całym tym kramem i pójdę sobie.

Stanął posłusznie, ale patrzył półprzymkniętymi oczami.

— Powinieneś skakać z radości. Niewdzięczniku!

— Daj spokój.

— Daj spokój, daj spokój. I krzywdzisz mnie tym głupim gadaniem. Wszystko dobre, co nas od jutra czeka, to wcale nie twoja zasługa...

— Wiem, wiem — odparł ponuro. — Przypadek i... Green.

— Krzywdzisz mnie, Johny, naprawdę mnie krzywdzisz. Inspektorem zostaniesz przede wszystkim dzięki mnie. I forszę przeze mnie dostaliśmy...

— Jak to? — zdziwił się — za co?

— Spotkałam tę Zuzannę Hay...

— Gdzie ją spotkałaś? — krzyknął zaskoczony.

— Nieboraku, ja o tej całej sprawie wiem o wiele więcej niż ty. Czytałam pamiętnik Greena.

— Pamiętnik? — Lipka zerwał się z tapczanu, na którym co dopiero się był ułożył. Przyskoczył do narzeczonej i brutalnie chwycił ją za ramiona. Krzyknęła. Wyrwała się. Nigdy jeszcze tak się nie zachowywał.

— Daj ten pamiętnik — powiedział Lipka, napierając na nią ciałem.

— Nie mam go.

— Co z nim zrobiłaś? Skąd go miałaś?

— Uspokój się.

Usiadł na tapczanie i bacznie się jej przypatrywał, jak by widział ją po raz pierwszy w

życiu.

— No, pytaj — powiedziała zmieszana i nieco zalekniona.

— Jak doszło do katastrofy „Giganta”? — zapytał natychmiast.

— Profesor zgromadził wokół siebie grupę niezwykle zdolnych naukowców, aby wraz z nimi realizować swoje nedorzeczne plany. W ten sposób powstał załazek laboratorium, gdzie ty, kochanie, przeszedłeś całe piekło...

— Zostaw te bzdury. Mów dalej. Ci ludzie, których zebrał profesor?

— Wydawali mu się najlepsi na świecie. Młodzi, utalentowani, wierzyli, że przy pomocy Greena uszlachetnią świat. Najbardziej zaufany był Louis Malone...

— Agent, którego Green zastrzelił...

— Tak. Budowa pracowni na skalę pomysłów Greena wymagała wielkich nakładów pieniężnych i materiałowych. Profesor więc udawał, że działa dla swego macierzystego zakładu, to samo jego uczniowie, a tymczasem powolutku, trochę kradnąc, trochę kombinując, lepili podziemne laboratorium w Niebieskim Mieście. Najpierw powstała mała stacja energetyczna. Wykorzystywała wodór z morza do tworzenia atomów helu. Przy tym, jak wiesz, wyzwalają się ogromne ilości energii. A ta energia z kolei umożliwiła tworzenie na ziemi maleńkich obszarów, jak gdyby wysepek, pozbawionych normalnej, ziemskiej siły ciężkości. Pierwsze próby odbyły się w willi, na piętrze. Aparatura podziałała wtedy na sąsiadującą z pomieszczeniem ulicę. Tak doszło do tragedii Mullerów. Green, jak pisze w pamiętniku, dowiedział się o całej tragedii dopiero z gazet, tak był pochłonięty doświadczeniami. Natychmiast pojął, że stał się mimowolnym sprawcą zbrodni. Zawiadomił o tym Malone'a i innych zaufanych asystentów. Chciał oddać się w ręce policji i wyjaśnić sprawę. Żeby tylko niewinny człowiek, tak on to pisze, nie siedział na ławie oskarżonych.

— A widzisz! — krzyknął Lipka. — On jest taki. On jest niewinny.

— Zaraz, zaraz — odpaliła Rita — to nie takie proste. Toczył się proces Mullera, ale uczniowie odradzali profesorowi przyznanie się. Byłaby wtedy — twierdzili — generalna wyspa. Władze zainteresowałyby się badaniami i położyłyby niechybnie na nich swą ciężką rączkę. Wynalazek wykorzystano by zaś do celów zbrojeniowych. A tego Green bał się jak ognia. Miał po prostu fioła na tym punkcie. To widać z jego histerycznych zwierzeń w pamiętniku.

— Nie dziwię się. No i co? Co z procesem?

— Proces się skończył. Muller dostał „tylko” dożywocie. A roboty w laboratorium postępowały bardzo szybko. Część prób z usuwaniem ziemskiego ciężenia przeniesiono w góry.

— Ach więc wtedy moi przyjaciele, alpinisci, dostali się widocznie w „strefę nieciężenia”.

— Green także o tym pisze. Był szczęśliwy, że żadnemu z uczestników górskiej wyprawy włos z głowy nie spadł. Nadszedł następny etap robót. W poszerzonym nieco, przerobionym z piwnicy laboratorium, Green zaczyna zużytkowywać czerpaną z „pieca atomowego” energię do rozpędzania cząsteczek żywego organizmu. Nie rozumiem tego procesu. Green objaśnia go wykresami, liczbami i funkcjami. Tyś to na własne oczy musiał widzieć. Dość, że gdy każdą cząsteczkę materii, których miliardy składają się na organizm żywej istoty, doprowadzi się do prędkości graniczącej niemal z prędkością lotu światła, a całą żywą istotę zamknie się w odrębnym, odizolowanym brakiem ciężenia pomieszczeniu — zachodzi nadzwyczajne zjawisko. Procesy życiowe — dla obserwatora z zewnątrz — zwalniają tempo. Odizolowana istota natomiast nie czuje zmian, a może żyć w stosunku do obserwatora prawie wiecznie...

— Widziałem to. Opowiadaj o katastrofie „Giganta”.

— Zaraz. Na razie w maleńkiej komórce udało się profesorowi zwolnić tempo życia, a tym samym przedłużyć życie wielu starych zwierząt. Odkąd weszły do komórki, jakby zasty-

gły w swej starości. Green był zachwycony. To samo uczniowie, z Malonem na czele. A tu, zaraz po pierwszym wielkim sukcesie, nadszedł następny. Nic dziwnego, że Greenowi strzelił do głowy pomysł całkiem nieludzki...

— Mów konkretnie — przerwał Lipka.

— Dobrze. Za pomocą aparatów, których działania zupełnie nie rozumiem, oni, to znaczy profesor i asystenci, nauczyli się w ciągu sekund postarzać każdy żywy organizm. Próbowali na królikach, myszach, psach i na małpach. Green pisze, że tańczył z radości. Miał przecież w ręku narzędzie pozwalające nie tylko unieśmiertelnić człowieka, lecz również uczynić go istotą pracującą i myślącą szybciej i skuteczniej niż wszelkie wymarzone mechanizmy przyszłości. Wiesz, te opisywane przez fantastów w powieściach. Postanowił przeprowadzić doświadczenie na ludziach. Grupka ludzi, zamknięta w małym laboratorium, działająca i myśląca niezwykle szybko, mogłaby rozszerzyć laboratorium na przyjęcie nowych mieszkańców. Aż wreszcie on sam, Green, wkroczyłby w tę rozpędzoną społeczność, stanął pewnie na jej czele i otworzył nową epokę ludzkości, ludzkości genialnej i szczęśliwej. Nie spał, nie jadł, tylko myślał jak to zrealizować. A asystenci podsuwali coraz to nowe projekty...

— Nareszcie, nareszcie mi to mówisz! — zawołał Lipka. — To oni go namówili?

— Projektodawcą był Malone, najbardziej ceniony przez Greena współpracownik. Profesor nazywał go „prawą ręką”. To on pierwszy powiedział, że najłatwiej dałoby się załodzić laboratorium „królikami doświadczalnymi” z jakiegoś zatopionego statku. Załogę i pasażerów zabierze się do laboratorium. I spokój. Niech potem władze szukają winowajców. — Ależ to zbrodnia — zaproponował profesor. Jaka mi tam zbrodnia. Nikogo nie będzie się przecież zabijać. Przeciwnie, tym ukradzionym ze statku ludziom damy wieczne życie. Jakież lepszy prezent można dać człowiekowi? Pozbawimy ich wolności — odparł Green — a abstrahując już od moralnej strony zagadnienia, istnieje jeszcze druga — techniczna. Twój projekt jest niewykonalny. — Niewykonalny? — zaśmiał się Malone. — Dysponujemy twoim aparatem antygravitacyjnym. Podjedziemy łodzią podwodną pod jakiś wybrany statek, taki, powiedzmy, na którego pokładzie byłoby choć kilku uczonych. Uczeni będą nam konieczni dla przeprowadzania badań i kierowania pracami w przyspieszonym laboratorium. Podjedziemy pod statek, zmusimy jego urządzenia sterownicze do zmiany kierunku jazdy. Potem, przy jakiejś wysepce zranimy kadłub statku, tak, żeby zaczął tonąć, a załogę i pasażerów weźmiemy na pokład naszej łodzi. I gotowe. Łódź podwodna? — ten sposób szczególnie zadziwił Greena — skądże weźmiemy taki pojazd? Już ja mam odpowiednie znajomości — odparł Malone — kupimy starego grata z demobilu. Ja sam się tym zajmę.

— A więc Green zgodził się na projekt Malone'a? — spytał Lipka drewnianym głosem.

— Nie od razu. Green się wahał. Malone jednak nie próżnował. Wspomagany i popierany przez kolegów, naciskał na profesora, aż ten zgodził się. Na razie chodziło tylko o kupienie owej nieszczęsnej łodzi i odpowiednie jej wyposażenie. Green nie wierzył w możliwość realizacji pomysłu. Tak pisze. Dlatego się zgodził. Malone sprowadził łódź. Była mała. Wcale nie wyglądała na starą. Mogło nią kierować zaledwie kilka osób. Poczęto przenosić do niej urządzenia laboratoryjne.

— To na pewno Malone zaproponował „Atlantę”? Jakie to naiwnie proste — powiedział Lipka — jakie strasznie proste. Kinsley, jeden z szefów naszej policji tajnej, pracuje równocześnie jako prezes firmy nawigacyjnej i każe swemu agentowi podstawić dla doświadczenia statek tej formy. Jasne?

— Tak musiało być — odparła Rita. — Łódź miała podpłynąć pod kadłub, puścić w ruch swoje aparaty, zmieniając w ten sposób położenie igły kompasowej statku i brakiem ciężenia dezorientując jego dowództwo i załogę. W takich warunkach musiało dojść do zmiany kursu. Zaatakowany transatlantyk popłynąłby ku małej nie zamieszkaney wysepce North. Tu rozegrałby się drugi akt dramatu. Statkowi zadano by ranę, a z tonącego wyprowadzono całą załogę i pasażerów, załadowano na pokład łodzi i stąd do Niebieskiego Miasta, do

laboratorium Greena.

— I co Green?

— I Green dał się przekonać. Ofiarą miał paść najlepszy statek „Atlanty” — „Gigant”, zwłaszcza że na jego pokład zamówili się, jak usłudźnie informował Malone, wybitni uczeni, śpieszący z Europy do Ameryki na międzynarodowy zjazd fizyków, chemików i biologów. Ale na dwa tygodnie przed wyruszeniem „Giganta” z Londynu — profesor odwołuje doświadczenie. I teraz w pamiętniku profesor przeklina siebie i swoich uczniów za czelność podjęcia tak potwornego zamiaru. Postanawia popełnić samobójstwo. Zwierzył się z tego współpracownikom. Powiedział im: „wysadzimy się wszyscy, jak tu jesteśmy, w powietrze i będzie spokój. My będziemy mieli spokój, a ludzkość będzie miała spokój z nami”.

— No więc jak wobec tego doszło do katastrofy?

— I wtedy pojawiła się Zuzanna Hay. Tak, profesor Green poznał ją podobno przypadkowo, to znaczy ona tak to urządziła, żeby on ją niby to przypadkowo poznał. Już wtedy była prawdopodobnie w rękach Kinsleya i pułkownika. Nie za darmo zrobili z niej „aktorke o najpiękniejszych kształtach na ziemi i na niebie” — czytałeś nieraz te reklamy. Nic dziwnego, że zakochał się w Zuzannie. Znałam tę bestyjkę z ławy szkolnej. Powiadam ci, największych świętoszków owijała dookoła palca. Zaraz po poznaniu nastąpiły ciche zaręczyny i jej wyjazd. Musiała w Europie rozejść się z mężem, również aktorem, który pomagał jej kiedyś w początkach kariery. Pojechała. I nagle Green dostał od niej depezę: „Wracam »Gigantem« piętnastego”. Jeżeli nie odwoła eksperymentu, jego własna narzeczona stanie się „królikiem doświadczalnym”. Ale było już za późno. Zanotował krótko, że natychmiast domyślił się podstępny ze strony swych współpracowników: widocznie bez jego zgody postanowili przeprowadzić doświadczenie. Już wówczas podejrzewał oszustwo. Być to może — pisał — że moi ludzie są po prostu agentami policji i wojska

— A więc to Green poleciał samolotem kapitana portu na poszukiwanie „Giganta”. On był tym nieznanym, którego bezskutecznie szukaliśmy?

— Oczywiście. Gdy wreszcie wyszli nad tonący „Gigant”, dzięki informacjom Greena, który doskonale znał z własnych planów miejsce katastrofy, zostali ostrzelani. I to częściowo rozwiało podejrzenia.

Przecież nie mogli się spodziewać, że to ja właśnie nadlatuję — zastanawiał się profesor — a do s w o j e g o, wojskowego samolotu nie strzelaliby. Nie mogą być więc na usługach wojska czy kontrwywiadu. Tak mniej więcej zapisał Green. Samolot został ugodzony. Ogień poszarpał skrzydło. Runęli do wody, Greenowi wróciła przytomność dopiero w willi, w Niebieskim Mieście. Dziwne, nie miał żadnych poważniejszych obrażeń, a kilka dni leżał bez przytomności. Znowu począł podejrzewać Malone'a i jego koleżków. Musieli go chyba utrzymywać umyślnie w stanie omdlenia. Szalał z rozpaczy.

— A Zuzanna Hay, co z nią się wtedy działo? — przerwał Lipka.

— Ona go uspokoiła. No i babka znowu wygrała. Wtajemniczona niby to w ostatniej chwili w istotę eksperymentu, wytłumaczyła Greenowi, że właściwie stało się bardzo dobrze, że klamka zapadła i odwrotu już nie ma. Najśmieszniej brzmiał argument, iż zarówno załoga jak i pasażerowie „Giganta” — zwłaszcza ci uczeni — z rozkoszą poddadzą się próbie.

— Musieli ich odpowiednio sprepować — mruknął Lipka.

— I wyobraź sobie, że Green wierzył. Najśmieszniejszy argument go przekonał. Musiał zresztą osobiście rozmawiać z uczonymi i załogą. No i zaczęła się praca, której rezultaty oglądałeś. Co?

— Zaraz, zaraz. Jeszcze nie wszystko rozumiem, Czy Green nic nie pisał o samej rozbudowie laboratorium?

— Owszem. Do laboratorium dostała się najpierw grupa uczonych, byłych pasażerów „Giganta”, i oni to, dzięki przyspieszonym myślom i ruchom, przygotowali pomieszczenia i urządzenia na przyjęcie reszty ludzkich „królików doświadczalnych”. W tym okresie Green

był zajęty całkowicie tym doświadczeniem,

— On taki jest, żył tylko tym jednym.

— Tak. Ale podsłuchał przypadkowo telefoniczną rozmowę między Zuzanną a Kinsleym i natychmiast wszystkiego się domyślił. Dowiedział się oczywiście, kim jest Zuzanna, i że Malone spisuje wszystkie doświadczenia w otoczonej strażą willi i przekazuje władzom. Green nie bał się kradzieży pomysłów. Współpracownikom zdradzał częsteczkę zaledwie swych planów, tak że wcale nie wstrząsnęło nim to, że coś tam wynosi się na zewnątrz. Zaszokowała go natomiast sytuacja, w jakiej się znalazł, i rola osób, którym bezgranicznie wprost ufał. No i resztę naprawdę już wiesz. Green zwiął z hotelu, od swojej Zuzanny...

— Tak, tak...

— A o mnie — powiedziała skarżącym się głosem Rita — a o mnie w ogóle zapomniałaś. Nie pytasz, jak znalazłam się w posiadaniu pamiętnika.

— Rzeczywiście. Tego nie powiedziałaś.

— Nie masz pojęcia co przeżyłam. Zaraz, kiedy tylko wyleciałaś z pokoju jak wariat, chciałam wyjechać, żeby rozstać się z tobą na zawsze.

Skulił się. Nic nie odpowiedział.

— Wyszłam z pokoju na korytarz, a tu wprost na mnie wpada zaginiona Zuzanna Hay i ucieka zaraz z jakimś facetem. Pognałam taksówką na policję. Opowiedziałam co wiem o „Gigancie” i Zuzie, a oni kazali mnie przymknąć. Za dużo wiedziałam.

— Tacy oni są — przerwał Lipka — za byle co gotowi człowieka zniszczyć, stratować.

— Zostaw — odparła. — Sam byś tak samo na ich miejscu zrobił. Daj spokój głupstwom. Słuchaj dalej. Całą noc przesiedziałam na krześle w zakratowanym pokoiku. Nad ranem wyjrzałam przez okienko. Patrząc, a tu podwórko ze stertą szmat i śmieci, a obok, pode mną, dach jakiejś szopy czy magazynu. Pomyślałam, że widocznie taksjarsz był podstawiony i zamiast na policji znalazłam się w siedzibie bandy Kinsleya. Miałam w kieszeni zapalniczki. Zapalałam jedną za drugą i rzucałam na stertę szmat i śmieci. I dopięłam swego. Sterta zapaliła się, a od niej zajęła się szopa. Rozległ się huk wybuchu. Widocznie w szopie trzymali oleje czy benzynę. Z gaszeniem nie szło łatwo, bo ludzi brakowało, a jak się później dowiedziałam, większość policjantów brała udział w akcji na willę Greena. Wezwana straż otworzyła wszystkie drzwi, powodując ucieczkę więźniów. Wypadłam na ulicę, dysząc — jak to się mówi — zemstą. Po drodze w gabinecie komisarza pochwycałam nabity pistolet. Byłam zdecydowana sterroryzować pułkownika i Kinsleya, których podejrzewałam o zмовę, i doprowadzić ich na „prawdziwą” policję. Przyszło mi też na myśl zawiadomić wyższe władze. Udało mi się uzyskać rozmowę telefoniczną z panem pełnomocnikiem rządu do takich historii. Odparł, że zajmie się sprawą, owszem, i trochę się śmiał, jak by miał do czynienia z wariatką. Rzuciłam słuchawkę. Nie wierzysz — pomyślałam — będziesz miał dowód w ręku. Poleciałam do willi Kinsleya. Brama otwarta. Wpadłam na korytarz. Drzwi, od gabinetu widzę uchylone, słyszę jakieś rżenia i syki. Zaglądam, patrzę — dwaj faceci kłócą się o pamiętnik Greena i rzucają się na siebie, gryzą się i charczą. Potem weszłam. Kazałam im stanąć pod ścianą. Zabrałam pamiętnik.

— Dzielna z ciebie babka — powiedział z podziwem Lipka.

— A co? Prawda? Zrozumiałam natychmiast, że ten pamiętnik jest kluczem do całej afery. Przeczytałam go jednym tchem. No i dobrze go ukryłam. Nie miałam jeszcze pojęcia co się z tobą stało. Ale domyślałam się, że za ten pamiętnik mogę mieć wiele dotychczas nieosiągalnych rzeczy. Natychmiast zawiadomiłam pełnomocnika, że mam wielkiej wagi dokument. Wyjaśniłam jaki. Obiecał mi złote góry. Na razie żądałam tylko, aby mnie zabezpieczył przed panami Kinsleym i pułkownikiem, no i prosiłam go, żeby pomógł mi ciebie odnaleźć. Ale ze znalezieniem ciebie nie było żadnego kłopotu. Po kilkunastu godzinach przywiozła cię karetka półprzytomnego ze szpitala, bo potrzebujesz opieki, delikatnej dłoni i tak dalej. No to zostawcie — powiedziałałam lekarzowi. I pielęgnowałam. A co do pułkownika,

to ten wraz z Kinsleyem, i każdy z nich na własną rączkę próbował mnie szantażować i grozić. Śmiałam im się w nos. Chcieli aresztować. Zagroziłam interwencją pełnomocnika. I wypuścili natychmiast, i jeszcze strasznie przepraszała, a dla ciebie obiecywali morze nagród i pieniędzy. Nie bój się, już ja sobie z nimi poradziłam i poradzę.

— Ty im wierzysz? Przekonasz się po procesie.

— John, a co do tego procesu, to... to musisz mówić jak... jak powinieneś dla naszego dobra.

— Zrozum — powiedział łagodnie — oni wykończyli właściwie Greena. Zniszczyli wielkiego człowieka. Zrobili z niego łajdaka i mordercę.

— Oni? To nieprawda. Oni nie są winni, że działają w interesie władz. Muszą robić jak robią. Green jest zwyczajnym wariatem. A my — normalni, szarzy ludnie. Nie wpłyniemy w żaden sposób na bieg wypadków.

— Dość! — krzyknął. Porwał płaszcz i wybiegł z pokoju.

Nad ranem przynieśli go agenci — zapitego do nieprzytomności.

XVII

Przed kolumnami nakrytego ciężką kopułą gmachu sądowego falował tłum. Samochody z trudem torowały sobie drogę ku schodom obstawionym policją.

Lipka wtulił się w miękkie poduszki wozu. Rita prowadziła dokonując wprost cudów, aby kogoś nie potraćić. Bała się przede wszystkim o samochód, Nareszcie własny.

Musiała zahamować gwałtownie pod samymi schodami. Objęła mocno narzeczonego.

— Nie mamy innego wyjścia — szepnęła — chociaż ciebie rozumiem. Ale jakie masz obowiązki wobec tego Greena? Znałeś go zbyt krótko. A choćbyś nawet tysiąc razy mocniej wierzył w słuszność jego idei, pomóc mu nie jesteś w stanie. On sam mógłby się uratować. I może wreszcie zechce...

Lipka nie odpowiadał. Wyszedł za nią i wozu i z trudnością przepychał się przez tłum.

— Wiozą go, wiozą — rozległy się wrzaski.

Karetką dowlokła się pod same schody. Spoza zakratowanych drzwiczek wyskoczył barczysty olbrzym w czapce z krótkim daszkiem. Za nim, ostrożnie macając stopą grunt, wyszedł profesor Green, Lipka pociągnął Ritę do wejścia. Musiał stać i patrzeć. Siwa głowa uczonego górowała nad tłumem. Wstępował wolno na opustoszałe teraz schody. Wtedy rozległy się ryki:

— Parszywy Murzyn! Morderca! Na hak z nim! Na hak! Lincz!

Z gmachu wybiegł oddział policji w białych hełmach. Ustawił się na tarasie z karabinami zwróconymi w tłum. Lipka był pewny, że jak nieraz strzelano do strajkujących, tak i teraz nie zawahano by się przed rozlewem krwi.

Lipka odwrócił się od tłumy — i w chwili, gdy Green zniknął wreszcie w głównym wejściu, mocnym krokiem wszedł do gmachu sądowego. W pełnym dywanów korytarzu wyście tłumy wydawało się szumem dalekiego morza. Znaleźli się w niewielkim przedsionku.

— Bądź rozsądny — szepnęła Rita. — Pamiętaj o nas,

— Pani tu nie może zostać — rozległ się obok nich szorstki głos pułkownika.

Lipka gwałtownie uniósł głowę. Oczy jego spotkały się z szyderym wzrokiem szefa.

— No i jesteś znowu pod moją komendą — powiedział pułkownik. — Kinsley jest teraz w odstawce. A co myślałeś? — I znowu zwrócił się do Rity — pani może już iść.

Odeszła bez słowa. Z rozpaczą patrzyła w pociemniałe nagle oczy narzeczonego. Lipka spuścił głowę. Pułkownik klepał go po ramieniu.

— Wiesz, co masz mówić? Jasne?

— Rozkaz! — odparł Lipka, czując, jak wszystkie marzenia rozplywają się wśród wysokich, szarych murów tego gmachu. Wzywano go właśnie na salę. Wszedł tam jak automat. Pojął, że wykona jota w jotę co mu rozkazano, że wrócił już do swojej właściwej, tak znanej i tak bardzo znieawidzonej roli.

XVIII

Rozprawę przeciw profesorowi Greenowi szybko zakończono. Ze względu na tajemnicę państwową (wielkie wynalazki mogły mieć poważne znaczenie obronne) jak i wrogą postawę tłumów wobec oskarżonego — przewód toczono przy drzwiach zamkniętych. Dopiero po skazaniu Greena na dożywocie ogłoszono komunikaty. Wynikało z nich, że profesor był szpiegiem działającym dla pewnego ościennego państwa, że do współpracy wciągnął znaną aktorkę Zuzannę Hay oraz wybitnego uczonego Malone'a. I parę tę uśmiercił pod koniec afery, aby nie świadczyła przeciw niemu. Green został uznany za winnego umyślnego zabójstwa pani Muller i niewinnych cierpień doktora Mullera, skazanego na dożywocie. Mullerowie, jak dowodził oskarżyciel publiczny (wbrew równie niedokumentarnym wywodom obrońców), znali nieco zamierzenia profesora Greena. Dlatego usunął ich w perfidny sposób. On to też przygotował, przy pomocy swych kompanów (których następnie zamknął w laboratorium) zamach na statek „Gigant”. Uprowadził z niego załogę i pasażerów, zamieniając ich w króliki doświadczalne, a następnie wysadził w powietrze. Poza tym uśmiercił dwóch niewinnych strażników. I jeszcze jedno: cała fama o genialnych doświadczeniach Greena była — zdaniem powołanych przez sąd ekspertów — mocno przesadzona. Inni eksperci ze swej strony orzekli, iż profesor Green jest całkowicie normalny i na pewno zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Tylko zasługi oddane niegdyś nauce, a mianowicie broń bakteriologiczna w pewnej małej wojence, uchroniła Greena od sprawiedliwej kary śmierci.

Tak mniej więcej wyglądały komunikaty, te oficjalne i mniej oficjalne, podawane przez prasę i radio. Afera doprowadziły jednak do powstania mnóstwa plotek. Niektóre z nich uparcie zaprzeczały oficjalnym doniesieniom: twierdziły, że o pracy Greena w kontrwywiadzie obcego państwa nie mogło być mowy, że Mullerowa zginęła przypadkowo, a laboratorium zostało wysadzone przez jego mieszkańców, a nie przez uczonego. Zuzanna Hay i Malone, według tych pogłosek, byli agentami wojaka pragnącego zastosować w najbliższej wojnie wynalazki Greena.

O całej aferze szybko zapomniano, a kilku plotkarzy znalazło się nawet w kilkudniowych aresztach. Pozbawiono ich wolności pod byle pretekstem. W rok po uwięzieniu, wycieńczonemu i ciężko choremu Greenowi jakaś przyjazna czy nieprzyjazna dłoń podała truciznę, przemyciła ją w chlebie. Natychmiast z niej skorzystał. Cicha, bardzo cicha plotka mówiła, że zamachu na życie profesora Greena dokonał pewien agent policyjny, który kiedyś spędził z nim kilka godzin w laboratorium „zamazanych ludzi”, tak nazywano ludzi przemocą zamkniętych przez profesora. Inni twierdzili: Greena po prostu sprzątnęły same władze, bo stawał się niewygodny, a w razie międzynarodowego konfliktu mógł się okazać niebezpieczny. Cóż, zmieniają się rządy i parlamenty. Jakkolwiek było, jedno jest pewne: Lipkę, postarzałego przedwcześnie detektywa, można spotkać często, niemal codziennie w podrzędnych knajpach podmiejskich. W brudnym i poszarpanym ubraniu popija tam na kredyt lub na rachunek koleżków, a czasem nawet i przygodnych ofiarodawców, którym opowiada swe niewiarygodne przygody w podziemiach willi Greena, w Niebieskim Mieście, w dzielnicy dawno zniszczonej pożarem.

To właściwie byłoby wszystko.